AS



Nr. 17
25 KWIETNIA 1937 R.
CENA 40 GROSZY

JEJ ULUBIENIEC
JÓZEFINA HUTCHINSON
Fot. Faerst, Paryż

Śląsk w Konkursie „Asa"

NA „NAJPIĘKNIEJSZY STÓŁ WIELKANOCNY"





Powyżej: Stół wielkanocny ze Śląska Cieszyńskiego.

Święcone p. J. N. — Katowice.



Stół wielkanocny p. Karoliny Holasowej w Katowicach.

Z nadesłanych kilkudziesięciu fotografij konkursowych stołu wielkanocnego mogliśmy już wyodrębnić indywidualności regjonalne. Stosownie do tego ujrzą nasi Czytelnicy święcone śląskie, wielkopolskie, warszawskie, wileńskie i małopolskie, z wyodrębniającym się ilościowo Krakowem.

Widocznem jest w stosunku do zeszłorocznego Konkursu „Asa", że zainteresowanie utrzymaniem tradycji święconego znacznie się powiększyło, co mamy do zawdzięczenia paniom domu — podtrzymującym zwyczaje staropolskie. Nadsyłając nam fotografje, wykazują one dużo zmysłu społecznego w kierunku służenia przykładem innym, jak nawet w dzisiejszych ciężkich kryzysowych czasach, można kontynuować tradycje narodowe.

Zgłosiły się też na nasz apel śląskie panie domu i to jako organizacja, a więc reprezentacja kilkuset kobiet polskich na Śląsku. Katowicki Zw. Pań Domu nadesłał do Redakcji „Asa" pismo, podpisane przez Przewodniczącą Oddziału, p. Janinę Szeferową, w którem podkreślono, iż hasło, w imię którego „As" urządza konkurs, jest naczelnem zadaniem Zw. Pań Domu, jak również praca nad utrzymaniem tradycyj narodowych i podniesieniem stanu gospodarczego i kulturalnego domów polskich na Śląsku.

Obok zdjęcia „święconego" w Związku Pań Domu w Katowicach, zamieszczamy kilka innych fotografij, otrzymanych ze Śląska.

W najbliższym numerze ujrzą Czytelnicy reprodukcje nagród naszego Konkursu.



Święcone Związku Pań Domu w Katowicach.



„Skromne święcone" — Mysłowice.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

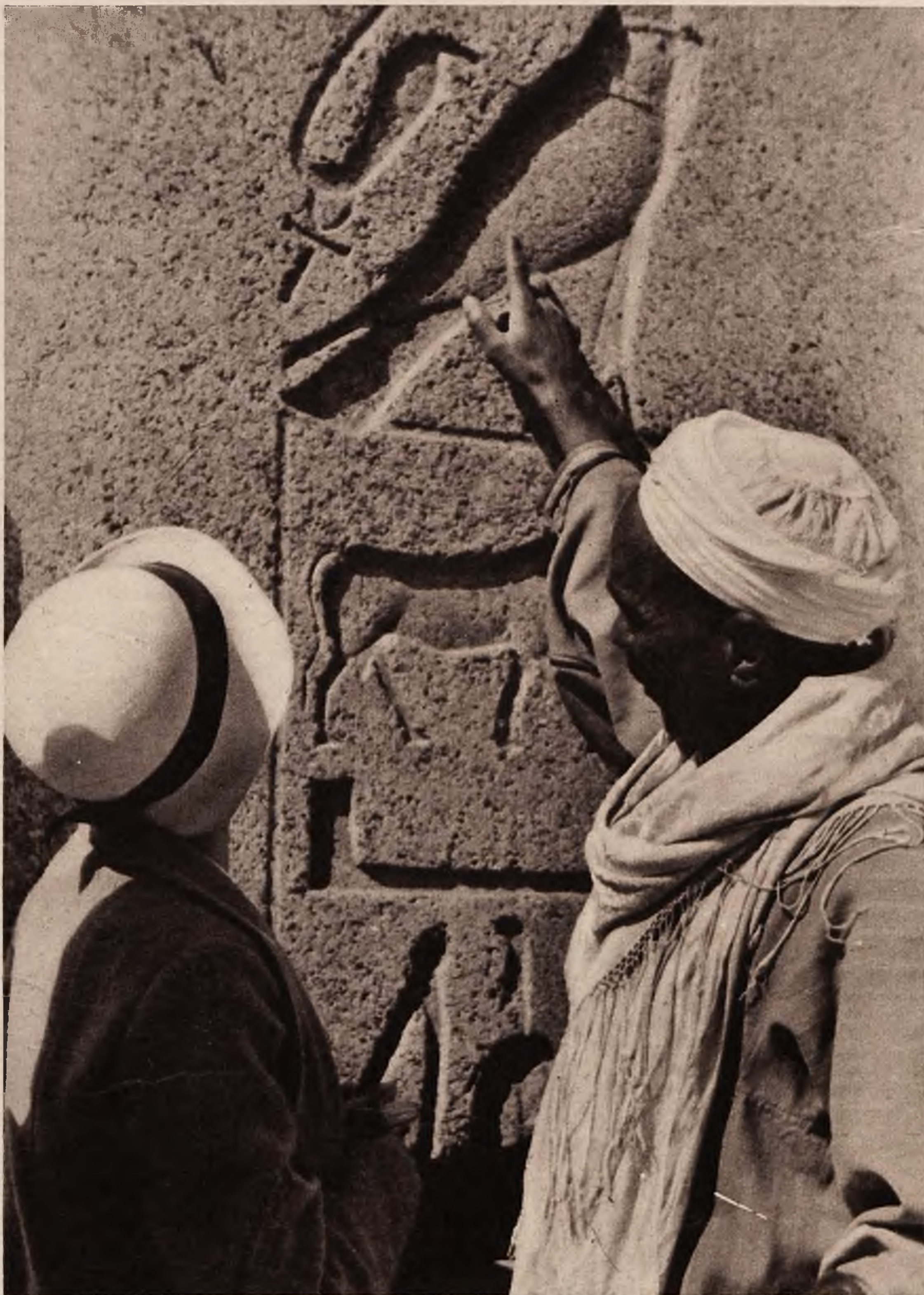
AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 17 **Niedziela 25 kwietnia 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 17-GO:



Fot. Dr. P. Wolff.

Niejedna z wycieczek morskich wiedzie do Egiptu, gdzie podróżni, oprowadzani przez rutynowanych przewodników, zapoznają się ze skarbami tamtejszej architektury. Na zdjęciu: Przewodnik objaśnia płaskorzeźby w Muzeum egipskiem w Kairo.

Miasto w trójkącie



TEKST I ILUSTRACJE: JANUSZ MARJA BRZESKI

Ołowiane chmury tkwią w górze nieruchomo. Jest w tem lenistwie groza. W dole kołyszą się czuby puszczy, ginącej we mgle horyzontu. Ptaki, jak czarne bumerangi wylatują ku górze, by zawirować, zakołować i opaść bez sił w zielone morze.

Król opiera gorące czoło o szary kamienny mur. Przed nim otwarte okno, jakby na przyjęcie chmur, ptaków i Boga. Za nim „Kazimierz" murowany — skrada się ku fortyfikacjom miasta, by kiedyś w nie wtargnąć.

Wąwozem wśród pni dębowych, w dole — wije się woda, szara, leniwa, jak dotąd niebo. Toczy bez szmeru nurty — powłóczyście. Jak podczas parady idą fale za falą. Wokoło brzęczą pszczoły. Coraz woda pluska. Potem cisza.

Zamek wsparty na białych skałach, oparł się rzece i wywalczył swe miejsce i wielkość. Stoi wysoki, szary, nad wirami modrej pętlicy wodnej i dębową knieją, która co roku rodzi tyle wawrzynów. Dla kogo?...

Cicho wśród ciszy, wbija Wawel swe ostre mury i szczyty w chmurne niebo. Rozdziera je. Puszcza ciemnieje, staje się jaśniejszą i znów przybiera barwy fioletu. Słania się. Faluje, ugina pod uderzeniami wiatru. Ołowiane chmury przecięte wieżycami zamkowemi poczynają się strzępić, pruć, rozsypywać. Wyplują wodę ze swych wnętrzności.

Runął deszcz. Najpierw krople padają jak ciężkie śruty. Bębnią o skałę, szeleszczą wśród zieleni. Z pluskiem lecą na rzekę. Nieregularnie uderzają tu i tam. Gęstnieją. Przybywa kropel, które zamieniają się w ukośne linje przekreślają to, co było przedtem. Czarne bumerangi znikły z nad lasu. Szumi woda nad wodą. Przychodzi ulewa, potop. Wicher miota powodzią w przestrzeni, nosi szare smugi strug. Rzuca nią. Wali.

Mrok gęstnieje czerni się. W powodzi zgubiły się horyzonty, zielenie lasu, fjolety, błękit nieba, czerwienie zamazały się. Przestrzeń kończyła się tuż przed człowiekiem. Wszystko zmieniło się w czarną symfonję, pełną szumu, łoskotu, bębnienia.

Z sykiem pojawia się szmaragdowa poświata, krótka jak uderzenie. Potem głuchy huk toczy się po murach. Zaciera go szept smug wodnistych i kropli. Chłodny wicher dmie mokrą mgłą. Niebo na krańcu świata pęka i oddziela się od ziemi. Rana żółknie, czerwieni się rudo, pęcznieje. Rozsuwa się na pół nieba. Jest coraz ciemniejsza.

Zstępuje mrok.

Król odchodzi od okna. Jest mokry po letniej pieszczocie burzy. Ociera twarz i czoło, które ukoił chłód kamienia. Zbliża się do figury pod ścianą. Migotliwe światło kaganka skacze po nim, po Matce Bożej, po izbie, jak błahe myśli. On czuje chłód i wstrząsają nim dreszcze. Wali w mokre dłonie, aż echo stukotu tłucze się po ścianach.

Na kominie zapłonął stos. Król owinięty w skóry utkwił nieruchome źrenice w płomieniu, ogarniającym polana.

To płonie las — myśli. Tak spłonie Polska — dodaje szeptem.

Podnosi oczy na strop czerwony od ognia, jakby gorzał. Myśli. Zielona puszcza zmienia się w palisady, bramy obronne, domostwa, całe miasta. Ludzie układają stosy. Niebo je zapala. Przyroda wskazuje drogę i karze za nieposłuszeństwo. A człowiek ciemny i uparty nie słucha ostrzeżeń.

Król wstaje. Wielkiemi krokami przemierza komnatę. Staje przed oknem, w którem majaczy ciemne niebo i w dole oszalała jeszcze i przestraszona pod uderzeniami wiatru puszcza. Król powraca na swe miejsce przed kominek. Smolne bierwiona syczą żywicą. Król przymyka powieki. Odgaduje obrazy przyszłości. Buduje przyszłe czasy. Zakreśla plany. Waży szanse, możliwości i swe siły. Już widzi miasta wyniosłe, wieżyce, mury obronne z cegły i kamienia. Szepce pełnemi wargami: „Dokończę Twego dzieła, Ojcze". Usypia.

Na dogasających szczapach drewnianych migocą niebieskie płomyki-zwodne, jak te na bagnach. Za oknami wstaje mleczna białość. Świta.

* * *

Kazimierz buduje Sandomierz. Od podstaw. Muruje jego przyszłość i wierzy w nią. Czyż można przejrzeć wiekową pomrokę tego, co przyjdzie?

Powstają potężne mury obronne. Katedra. Ratusz mnoży swe komnaty, przystosowuje się do nowych i przyszłych wielkich potrzeb. Zamek podnosi się z upadku. Wielki, majestatyczny panuje nad miastem.

Król nadane przez Leszka Czarnego przywileje rozszerza. Nadaje nowe. Kupcy z całego świata osiadają w Sandomierzu. Rzemieślnicy tworzą swe warsztaty. Zachęceni przywilejami ciągną zewsząd, by rozszerzyć dobra i wsławić imię miasta. Sandomierz rośnie. Przybywa mu coraz więcej budowli, warsztatów pracy, kościołów. Szara wstęga Wisły zapełnia się pękatemi galarami, pływającemi między spichrzem Polski — a starym Gdańskiem. Obroty rosną. Brodaci kupcy radzą nad cenami zboża polskiego w Artushoffie. Wysyłają w głąb kraju



Brama Opatowska w Sandomierzu, wzniesiona w 1362 r. przez Kazimierza Wielkiego.

polewane kafle zdobione rysunkiem, meble, zegary. Trzęsą brodami nad stosem złota. Witają przybyszów z Amsterdamu, Antwerpji, Londynu. Krótkie przerwy czynią wojny i napaści.

W r. 1457 Andrzej z Tenczyna, Jan z Tarnowa i Grzegorz z Branic zawierają spółkę dla importu sukna norymberskiego. Wielkim handlem zajmują się ważne i arystokratyczne rody. Arcybiskup gnieźnieński — Mikołaj Kurowski handluje mięsem z Flandrją i robi na tem olbrzymi majątek. Handel kwitnie. Zboże i inne produkty rolne wysyła Polska do Niemiec, Anglji, Holandji, Francji, Włoch i Hiszpanji. Do prastarych szlaków handlowych lądowych, biegnących przez Polskę, przybywają szlaki wodne. U zbiegu najważniejszych króluje Sandomierz.

Według ksiąg rachunkowych wywieziono w r. 1648 z Polski przez Gdańsk przeszło 6 miljonów korcy zboża. Wołów i koni wysyłano rocznie zagranicę około 120 tysięcy sztuk. Maszty okrętowe dla floty hiszpańskiej i portugalskiej rosną w Puszczy Białowieskiej. Sukna kościańskie, bieleckie, walborskie idą przez Lwów do Konstantynopola. Najważniejszemi ośrodkami handlowemi w Polsce jest Gdańsk, potem Lwów, gdzie jarmarki ściągają kupców z całej Europy. Następnie Kraków i Sandomierz ze swemi kontraktami na św. Pryskę.



Ratusz sandomierski, zbudowany w XII w. z renesansową attyką z XVI w.

Z czasem szlachta polska, jako kasta rządząca, odsuwa się od handlu. Niezupełnie jednak. Jeszcze w XVII wieku spławia ona swą pszenicę do Gdańska. W r. 1633 Sejm uchwala prawo odbierające szlachectwo tym, którzy się handlem zajmują.

Nie jest to jednak obraza handlu. Raczej jego obrona. Ustawa chroni bowiem mieszczan handlujących przed napływem szlachty do miasta. Oni powinni zajmować się rzemiosłem rycerskiem, by być gotowymi na wezwanie króla w razie wojny.

Świetnie stojący handel polski upada całkowicie w okresie wojny i po wojnach szwedzkich. Ważny punkt, leżący na skrzyżowaniu południowych dróg Zachodu i Wschodu i wali się w gruzy. Niema już nikogo, ktoby go wsparł i przywrócił dawną świetność. — Cichnie gwar targów. Galary coraz rzadziej wyruszają stąd w daleki bezkres. Dokończyła się przeszłość Sandomierza. Miasto trawić będzie wiele dziesiątków lat w oczekiwaniu jutra, które nieprędko przyjdzie.

* * *

Kronikarz Gallus w r. 1097 zapisuje: Sandomierz należy do większych miast w Polsce i współzawodniczy z Krakowem. Kronikarz opowiada o starym Sandomierzu, po którym, prócz kościołów św. Jakóba i Pawła nie pozostanie ani śladu. Dawny gród wznosi się na szczycie wzgórza. Wokół rozciąga się nieregularnie zabudowana osada. Kiedy starszy brat z rodziny Piastów zasiada na tronie krakowskim, młodszemu przypada w udziale Sandomierz. Bo Bolesławie Krzywoustym Sandomierz otrzymuje Henryk.

Następuje serja katastrof. XIII wiek rozpoczyna w r. 1205 r. napad księcia halickiego Romana na miasto. Sandomierz płonie. W r. 1241 napadają na gród Tatarzy. W niespełna 20 lat potem nieprzeliczone hordy dziczy walą na miasto pod wodzą Teleboga i Nagaja. Miasto zdobyte. Nad Wisłą barbarzyńcy mordują wszystkich mieszkańców. Rzeka płynie czerwienią. Rok 1287 przynosi znowu grozę napadu tatarskiego.

Leszek Biały dźwiga miasto z ruiny. Przenosi gród na wzgórza i nadaje mu prawa. Przywileje zachęcają przybyszów do osiedlania się. Miasto otoczone zostaje ostrokołem, w części murem. Król sam często zjeżdża do Sandomierza. Żona jego Gryfina lubi to miejsce i przebywa w niem długo. „dla czystego i zdrowego powietrza...". Każe ona rozpinać namioty na Świętopawelskim wzgórzu nad Wisłą, gdzie odpoczywa.

Kazimierz Wielki pokochał Sandomierz. Przyjeżdża tu bardzo często. Raduje oczy widokiem rosnącego szybko, gwarnego miasta. Wierzy w nie.

W r. 1386 na zamku sandomierskim poselstwo krakowskie wita Jagiełłę, jadącego na chrzest, ślub i po koronę polską. Stąd też wysyła Jagiełło Dymitra z Goraja do Mistrza krzyżackiego, by był mu ojcem chrzestnym. Jadwiga przybywa często do Sandomierza. Rozdziela miastu swe łaski.

Przychodzi odrodzenie sztuk i Złoty Wiek. Zamek sandomierski otrzymuje nowe kształty. Zygmunt I nie zapomina o niem. Gości on Zygmunta Augusta, Władysława IV, Augusta II.

Rok 1655 przynosi zagładę. Szwedzi zajmują miasto, które pustoszeje. Stefan Czarniecki zbliża się z odsieczą. Żołnierze Synklera uciekają nocą na łodziach do obozu Karola Gustawa. Rano wojska Czarnieckiego zajmują miasto i wtedy łoskot rozdziera powietrze. Szwedzkie składy amunicji wylatują w powietrze, niszcząc zamek...

Sobieski restauruje go, jednak zamek nie uzyska już nigdy swej pierwotnej formy i splendoru. Mury zabliźniły się, stoją małe i skromne. W przyszłości zamienią je na więzienie. Wieki coraz większych upadków już się skradają. Od szczytu ma upaść miasto na dno. Wśród wstrząsów sprzeciwu tonie w zapomnieniu. Ludzie uciekają od niego.

Sandomierz był sercem. Odebrano mu tętno. Wywołano życie bez ruchu. Martwotę. Tak trwa Sandomierz. Jego kluczowa sytuacją sprawia, że jest on zawsze terenem walk. Zdobywają go Tatarzy, Szwedzi, Austrjacy. On milcząco dał się pozbawić dóbr. Coś przedziwnego tkwi w tym tragicznym upadku miasta, który nie pogłębił się do krańca. Miastu pozostało tyle tchu, by nie stać się niczem, by wegetować, przetrwać dzięki przeszłości dzień dzisiejszy — w oczekiwaniu jutra.



Jedna z uliczek w Sandomierzu.



Starożytny spichrz w Sandomierzu nad brzegiem Wisły.

Korowód lat niszczy stopniowo Sandomierz, który rozpada się w proch. Nikt szkód nie naprawia. Mury są zbyteczne. Zbyt dawno je zdobyto. Bramy nie wiodące nigdzie, upadły na zarośnięte trawą tropy dawnych czasów.

* * *

Polska budzi się do nowego życia. Dla Sandomierza nie nadszedł jednak jeszcze czas. Stoi na uboczu. Gdy inne miasta bogacą się, on pozostaje w starych królewskich łachmanach, ufny, że jeszcze kiedyś zabłyśnie dawną wielkością.

Rok 1936. Potem 1937. Piątek, 5 luty. Na komisji budżetowej Sejmu wicepremjer inż. Kwiatkowski wygłasza mowę programową odnośnie do zbrojeń państwa i inwestycji rządowych. Omawia on przeszłość i szkicuje plan czteroletniego planu inwestycyjnego, który ma stanowić pomost dla znacznie szerszego planu — dziesięcioletniego.

„Jeżeli chodzi o możliwości finansowe — mówi inż. Kwiatkowski, to stwierdzam już dziś, że zamiast przewidywanych dotychczas 1.800 miljonów, zdołamy zmobilizować 2.400 miljonów...

Pierwszem hasłem jest rozbudowa nowego centralnego rejonu przemysłowego. Tak, jak przed laty rzuciliśmy hasło o polskie morze i zbudowaliśmy Gdynię, tak dziś musimy zwrócić się na Sandomierz. Okolica ta nie ma dotychczas wyraźnej fizjognomji gospodarczej, ale geofizycznie w chwilach niebezpieczeństwa będzie stanowić centrum naszej obrony. Musimy w tej okolicy stworzyć pomost zbytu dla Wschodu i Zachodu, gazu ziemnego i elektryczności z Południa... W okręgu Sandomierza budowa przemysłu, sieci drogowej oraz rzecznej, łączącej ten okręg z innemi dzielnicami, doprowadzenie gazociągów i sieci elektrycznej wymaga 3 miljardów złotych...

„Można wyrazić troskę o podstawy inwestycyj, o ich przeprowadzenie, o zapewnienie spokojnej atmosfery pracy. Można dyskutować na temat rentowności tej, czy innej pozycji. Każdy poważny zarzut, podyktowany troską o naród i państwo będzie wzięty pod uwagę, rozpatrzony wszechstronnie"...

Podczas szczegółowego omawiania planu inwestycyjnego przez ministrów okazuje się, że główny nacisk kładziony jest na wykorzystanie naszych źródeł taniej energji elektrycznej i gazowej.

„Jesteśmy na szarym końcu pod względem użytkowania elektryczności, — mówi min. Roman. Plan elektryfikacji Polski, jak i każdego zresztą kraju polega na tem, aby możliwie racjonalnie wyzyskać źródła energji. Położenie geograficzne źródeł energji w Polsce wskazuje, że linja elektryczna, łącząca między sobą te źródła, musiałaby przechodzić na południu i z zachodu na wschód... Taniość energji elektrycznej i jej upowszechnienie zależy od zwiększenia produkcji, a tem samem wzrostu konsumcji... Opracowany program inwestycyj elektryfikacyjnych przewiduje w ciągu 4-ch lat wydatek w kwocie 126,25 miljonów zł.

„Wprowadzając zastosowanie elektryczności do warsztatów pracy zwiększymy wydajność i szybkość wytwórczą, obniżymy koszty produkcji, przyczynimy się do złagodzenia bezrobocie, ulokujemy kapitał w przedsiębiorstwie dobrze rentującem się...

„Znaczenie gazyfikacji jest dla gospodarstwa narodowego również ogromnie ważne. Gaz ziemny stanowi wydatne i dogodne źródło energji cieplnej. Ponadto gaz ziemny może służyć jako materjał wyjściowy dla szeregu procesów chemicznych. Do ważniejszych złóż gazowych w Polsce należą Borysław, Bitków-Pasieczna, siodło Potockie, siodło Górki-Strachocina i Daszawa. Jako źródło gazu ziemnego dla C. O. P. wybrano kopalnię w Roztokach, produkującą 615 metr. sześć. na min. Objęta planem inwestycyjnym budowa gazociągów została już rozpoczęta. Długość głównej trasy wynosi 250 km, a odgałęzień 100 km. Ogólny koszt powyższej inwestycji wyniesie 12 miljonów zł."...

Debata sejmowa nad planem inwestycyjnym, przemówienia ministrów: Kwiatkowskiego, Romana, Poniatowskiego, Ulrycha, Kościałkowskiego i Kasprzyckiego, rozwijająca szczegóły przyszłych inwestycji, staje się najdonioślejszym wypadkiem ostatnich czasów w życiu wewnętrznem Rzeczypospolitej. Inwestycje te mają pobudzić do życia Centralny Okręg Przemysłowy, mają przygotować warunki dla powstania fabryk i ich rozwoju. Inwestycje pomogą do uzbrojenia terenu w energję elektryczną, gazową, usprawnią komunikację wodną i lądową.

Stolicą Centralnego Okręgu Przemysłowego, mieszczącego się w t. zw. trójkącie bezpieczeństwa — między Wisłą i Sanem, stanie się prastary Sandomierz.

Program inwestycyj elektryfikacyjnych przewiduje budowę linji wysokiego napięcia Starachowice—Warszawa, jako przedłużenie budującej się już linji Mościce—Starachowice. Pozatem na terenie C. O. P. zbudowana będzie linja wysokiego napięcia Rzeszów—Nisko. Budowa przewodów gazowych potrwa 2 lata i prowadzić będzie z kopalni w Roztokach przez Kolbuszową, Tarnobrzeg, do Sandomierza. Tu przekroczy gazociąg Wisłę i skieruje się przez Ostrowiec do Lubieni. Dalej z Lubieni przez Kiedrzyń do Pionek. Ponadto zbudowane zostaną odnogi do Radomia, do Niska i do Mielca. W ten sposób C. O. P. uzyska tanie i wysoko wartościowe paliwo dla swych fabryk i zakładów przemysłowych.

Uregulowane zostaną rzeki. Wisła musi się stać spławną na całej swej przestrzeni, aby stanowić naturalną i najtańszą drogę komunikacyjno-transportową przez całą Polskę, aż do morza Bałtyckiego.

Jednoczesna budowa zapór wodnych: na Brynicy, na Sole w Porąbce i w Rożnowie, oraz budowa wielkich elektrowni przy tych zaporach zasili w energję elektryczną nietylko C. O. P., ale całą południową Polskę.

Taki jest plan. W kilka tygodni po jego ogłoszeniu i sprecyzowaniu przystąpiono do pracy. Rzesze robotników wznoszą gmachy fabryczne, żelazne konstrukcje, prowadzą sieć elektryczną i gazową, wznoszą betonowe ściany zapór wodnych...

* * *

Wstał dzień. Las kominów stoi u stóp zamku. Czarne dymy nie zapowiadają nocy. Są znakiem pracy o jutro. Dzika rzeka toczy swe ujarzmione nurty wśród żyznych pól wydartych puszczy. Huczą dynama i motory. Nie będzie już ciszy, lenistwa i grozy wiszących nad zamkiem czarnych chmur. Błyskawica rozpaliła miljony lamp, tchnęła swą tajemnicę w maszyny i ludzkie dłonie. Rozwinęły się idee, jak sztandary, skupiające wiernych.

Kazimierz wstał. Odrzucił skórę niedźwiedzią. Podchodzi do okna. Widzi żelazne szlaki, pękate barki na Wiśle, dymiące kominy. Zamkiem kołysze równy, dźwięczny oddech miljardów HP.
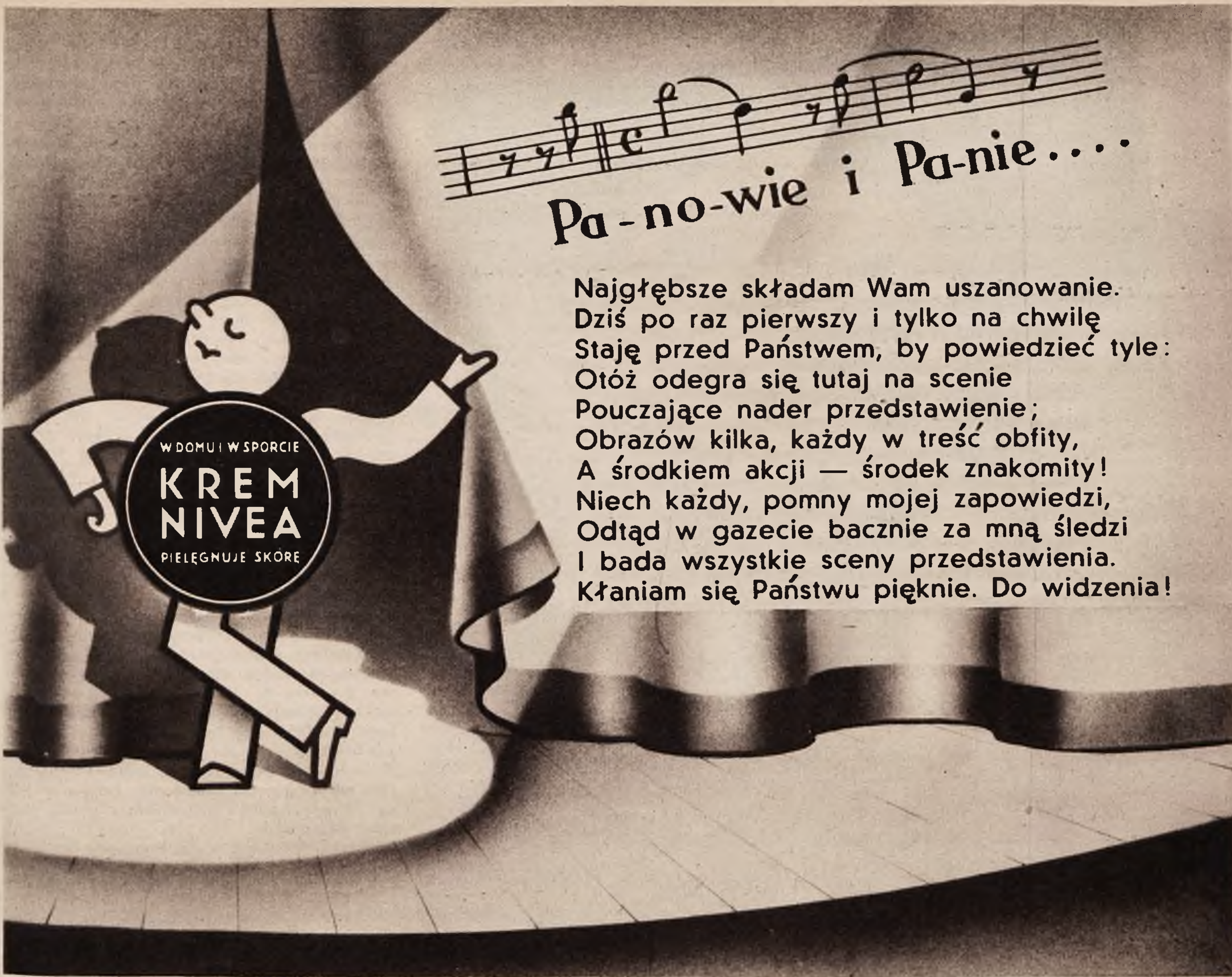
Rzeki ujarzmione, tamy, turbiny pracujące. Nad ziemią, na ziemi, pod ziemią tworzy człowiek swe dzieła. Polska wywozi towary. Handluje. Pracuje. Świat jest bliższy i bardziej znajomy. Marynarze kierują swe okręty z dalekich mórz ku Gdyni i Gdańskowi. Jak okiem sięgnąć mury z cegły, kamienia, betonu...

— Spełniono mój sen — szepcze pełnemi wargami Król Budowniczy...

Opuszcza izbę, w której wygasł rozpalony wczoraj ogień i zstępuje schodami w dół...



Mapka Centralnego Okręgu Przemysłowego. Linje grube oznaczają gazociągi, linje przerywane — przewody wysokiego napięcia.



KĄCIK FILATELISTYCZNY



Od lewej: Najnowszy znaczek gdański oraz francuski, wydany z okazji Wystawy Międzynarodowej.

Termin otwarcja Wystawy Światowej w Paryżu zbliża się! Z tego też powodu wydano jeszcze jeden znaczek propagandowy, opinja przyjęła bowiem bardzo krytycznie serję, która ukazała się w jesieni ub. r. Serja ta była może bardzo oryginalna, ale fatalnie wykonana i bezwątpienia odbija niekorzystnie od innych znaczków, które emitowano we Francji w ciągu ostatnich lat. Tym razem znaczek reprodukowany (ze zbioru p. M. Wojciechowskiego) jest bardzo sympatyczny. Nietylko rysunek, przedstawiający młodą dziewczynę, niosącą na dłoni statuetkę „Wolności", oraz herb Paryża, umieszczony po lewej stronie, ale także jasno niebieska barwa i wykonanie delikatnym stalorytem zasługują na pochwałę. W czasie samej wystawy ukaże się tak modny dzisiaj „blok", łączący 4 znaczki dawnego typu (Cerera), i zaopatrzony naturalnie napisem „Exposition". Już dzisiaj powiększono ustaloną pierwotnie wysokość nakładu, bo zapotrzebowanie na nowości filatelistyczne przechodzi wszelkie spodziewane granice.

Zamieszczony przez nas „blok Hitlera" (ze zbioru dyr. A. Landaua) cieszy się także wielkiem powodzeniem i właściwie jednak należałoby się zastanowić po co umieszczać w albumie aż 4 takie same sztuki, nie różniące się nawet znakiem wodnym. Niewątpliwie i pojedyncza sztuka wyrwana z bloku będzie miała swoją wartość, tak że trzeba się zdecydować: albo odrazu rozerwać blok, albo zatrzymać go w idealnej całości. Spotkaliśmy się natomiast już z obcinanemi po bokach blokami, gdyż nie mieści się on na kopercie normalnej wielkości.

Bliższe dane podaliśmy zresztą już w ostatnim numerze. Jest nieprawdopodobnem, aby osiągnął on taką wartość, co np. „Iposta" lub „Ostropa", nakład jest bowiem bardzo wielki i cena rynkowa wynosi d 2—3 złotych.

Gdańsk nie spisał się ostatnio wydanemi znaczkami, podobnie jak w Niemczech na D.L.B. (obronę przeciwlotniczą): zasługują one na bardzo niską „notę". Mizernie wykonane płaskim drukiem, sam rysunek (przesadnie stylizowana panorama miasta), a nawet barwy nie umyły się do poprzednich seryj Wolnego Miasta. (Ze zbioru inż. E. Leuchtera). Podajemy krótko: 10 f. — c. niebieski, 15 f. — bronzowo-lila, format normalny.

N. H.

PRZYSŁOWIA FILATELISTYCZNE.

„Darowanej marce nie zaglądaj w ząbki".

„Jestem zbyt biedny, aby kupować uszkodzone znaczki".

„Lepiej późno, niż nigdy... odpisać korespondentowi".

„Co się odwlecze, — to w filatelistyce nie uciecze".

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WP. WÓJCIK KRAKÓW. Do wiadomości Pana podajemy adres „Wiadomości Filatelistycznych": Poznań, Aleje Marcinkowskiego 7.

ADRESY ZBIERACZY: Paweł Scheller — Kraków, Juljusza Lea 21 b. pragnie wymieniać ze zbieraczami krajów Europy.

Witold Horain — Kraków, Zwierzyniecka 19 poszukuje korespondencji z krajami pozaeuropejskiemi.

Wojciechowski Zygmunt — nauczyciel — Kraków, Batorego 1, m. 5.



Najnowszy blok znaczków niemieckich.



W roli Marysi, w filmie „Znachor".
Fot. „Stephot" — Warszawa.

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM:

ELŻBIETA BARSZCZEWSKA

Duże, pełne wyrazu oczy, twarzyczka, jakby owiana nawet podczas uśmiechu mgłą tęsknej zadumy, urok młodości i wdzięk dziewczęcy, a nadewszystko duży, z łaski Bożej talent liryczno-dramatyczny — oto walory, które młodziutką artystkę teatrów warszawskich, Elżbietę Barszczewską wysunęły na czoło zastępu młodych talentów aktorskich ostatniej doby i pozwoliły w szybkiem tempie zabłysnąć na ekranach naszego filmu.

Barszczewska ukończyła dopiero przed dwoma laty Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej (t. zw. PIST) w Warszawie. Wytrawny koneser sztuki dyr. Szyfman odrazu po popisie zaangażował utalentowaną laureatkę instytutu do TKKT, powierzając zaraz w pierwszym roku pracy tak odpowiedzialne role, jak Maryli w „Dziadach", Anieli w „Ślubach Panieńskich", Heleny w „Śnie nocy letniej", Leonji w „Walce kobiet" i inne. Wreszcie przyszła kolej na Tessę, graną sto kilkadziesiąt razy w Teatrze Polskim. Lecz oto i X Muza upomniała się o tę pupilkę Melpomeny. Panna Elżunia zostaje zaproszona do nakręcania filmu. Debjut w „Panu Twardowskim" udaje się nadspodziewanie. W świetle jupiterów rozkwita w pełni wielki talent artystki, która już w następnym filmie „Trędowata", grając tytułową rolę, oraz w „Płomiennych sercach", zdobywa sobie głośne imię i tytuł prawdziwej gwiazdy filmowej.

— Zapewne już od dziecka marzyła pani o scenie? — zapytałam panny Elżuni, w trakcie rozmowy na temat jej zainteresowań artystycznych.

— Marzyć? tak, marzyłam — odpowiada artystka z uśmiechem. — Ale nie o tem, aby te marzenia miały się kiedykolwiek ziścić. Wprawdzie przez cały czas studjów gimnazjalnych z ogromnem zamiłowaniem przykładałam się do literatury dramatycznej i z pasją uczyłam się różnych wierszy, które deklamowałam na popisach i wieczorkach studenckich, ale o karjerze scenicznej mowy nigdy nie było. Do tego stopnia byłam daleka od projektów teatralnych, że gdy jeden z profesorów, dając mi przy maturze za temat dramaty Słowackiego, odezwał się z uśmiechem: „Zapewne panią wkrótce ujrzymy w nich na scenie", poprostu i dosłownie zgłupiałam! Po maturze też w myśl życzeń rodziny wstąpiłam do Szkoły Nauk Politycznych. Ale być może, że właśnie to żartobliwe powiedzenie owego profesora stało się tym bodźcem, który zbudził w mej duszy skryte pragnienia i wskazał właściwy cel życia, bo już po półrocznych studjach uniwersyteckich, przełamawszy opór rodziny, przerwałam je i zapisałam się do PIST-u.

— A który rodzaj pracy więcej pani odpowiada — pytam mą milutką rozmówczynię. — Teatr czy film?

— Bezwarunkowo teatr — odpowiada panna Elżunia. Teatr dostarcza bowiem pełnych możliwości przeżywania roli, bezpośredniego wyładowania uczuć, podczas gdy technika pracy w filmie, bardzo skomplikowana i zupełnie odmienna od scenicznej, nie daje w czasie nakręcania tego zadowolenia artystycznego i możliwości kontynuowania roli przez wszystkie jej fazy w normalnej kolejności, co stanowi główny cel zamierzeń pracy aktorskiej. No i ta szalona trema, którą przeżywam, jako widz samej siebie na premjerze filmu! Za każdym razem czuję się, jak po ciężkiej chorobie! Jestem bardzo surowym krytykiem w stosunku do siebie i przechodzę istne katusze, widząc jakieś usterki czy niedociągnięcia, których się już poprawić nie da. To jest najstraszniejsze!

— A nad czem pani obecnie pracuje?

— Gram bardzo ciekawą rolę w „Znachorze" według powieści Dołęgi-Mostowicza z naszym wspaniałym Junoszą-Stępowskim w tytułowej roli i bardzo obiecującym debjutantem Łozińskim. Właściwie gram tam dwie role: matki i córki. Och, pracy dużo, zwłaszcza, że równocześnie mam próby w Teatrze Narodowym z Horsztyńskiego, w którym kreuję Salomeę. Z atelier do teatru, z teatru do atelier. O żadnej rozrywce ani przyjemności ani marzyć. Ale nie mówię tego bynajmniej w formie skargi. O nie! — podkreśla panna Elżunia z gorącym błyskiem w swych pięknych oczach. Spełniły się przecież me najgorętsze marzenia. Jestem artystką! Wraz z memi bohaterkami przeżywam tyle ustawicznie nowych, coraz to innych wzruszeń, że praca w umiłowanym zawodzie daje mi pełnię radości i zadowolenia.

Zofja Ordyńska.



Na prawo: ...a tu w roli Tessy.
Fot. Van Dyck — Warszawa.

K. WIERZBICKA



N O W E L A

ZEGAR

Ilość gości w restauracji „Orjon" zwiększała się bardzo szybko. Drzwi raz po raz otwierały się z hałasem, wpuszczając ludzi przemokłych, zmęczonych walką z rozszalałym żywiołem. Razem z nimi wlewały sie całe strugi deszczu, wdzierał się gwałtowny wiatr, porywający ze stolików lżejsze przedmioty, żeby cisnąć niemi następnie o podłogę. Wtedy też widać było błyskawice, przecinające co chwila niebo.

Grzmiało coraz groźniej. Zdawało się chwilami, że grube mury nie stanowią żadnej ochrony i że burza zdmuchnie kamienicę tak, jakgdyby to był domek z kart.

Głosy wtenczas przycichały, ludzie przysuwali się do siebie bliżej, jakby szukając w jedności obrony przed niebezpieczeństwem.

W takiej właśnie chwili ukazał się w drzwiach mężczyzna może 35-letni. Ubrany był po cywilnemu, lecz cała postawa zdradzała w nim wojskowego. Okazało się też niebawem, iż był kapitanem piechoty.

Cerę miał śniadą, twarz czerwoną i mokrą. Szare oczy rozglądały się wesoło po obecnych. Widocznie właściciel ich nie przejmował sie bynajmniej burzą.

Niedbale zrzucił płaszcz na ręce nadbiegającego kelnera i, wycierając chusteczką twarz, głośno rozmawiał z nisko kłaniającym się gospodarzem.

— Pogoda do stu djabłów! Wolę jednak taką, niż upał. Czuję się przynajmniej człowiekiem, nie mięczakiem.

Zajął miejsce za najbliższym od drzwi stolikiem, za którym siedziało już dwu milczących panów. Po paru minutach wszyscy trzej rozmawiali w najlepsze.

Kapitan pił przytem wódkę, przegryzając zastraszającą wprost ilością przekąsek, ku wielkiej uciesze gospodarza, który sam mu usługiwał.

Wszyscy czuli się raźniej. Chociaż burza szalała po dawnemu, a pioruny biły co chwila, to z jednej, to z drugiej strony kamienicy, był przecież człowiek, który nic sobie z tego nie robił.

Wtem zegar w sąsiednim pokoju zaczął wygrywać melodję modnego niegdyś walca; jednocześnie kapitan skoczył na równe nogi, rozglądając się za płaszczem. Twarz jego wyrażała żywy niepokój, graniczący prawie z przerażeniem.

— Panie kapitanie, co się panu stało? — podbiegł gospodarz.

Dwaj panowie, którym przed chwilą opowiadał zabawną anegdotkę, zdziwieni pytali o przyczynę tak nagłego zdenerwowania.

— Może przypomniał sobie pan kapitan o jakiejś sprawie, którą trzeba było na czas załatwić? — zapytał jeden z nich, szpakowaty, szczupły brunet o zmęczonej twarzy.

— Owszem, przypomniałem sobie, że muszę niezwłocznie stąd odejść. — I, zwracając się do gospodarza, żywo dodał:

— Proszę pana, skąd pan ma ten zegar?

— Ten zegar? Doprawdy, dobrze nie pamiętam. Kupiłem go może przed dziesięciu laty, o ile się nie mylę, we Lwowie.

— A więc to zegar tak spłoszył pana? — uśmiechnął się jegomość o zmęczonej twarzy. — Ciekawe! Nie boi się kapitan tak strasznej burzy, opowiadał nam pan o okropnościach, jakie przeżył na wojnie i raptem chce pan uciekać przed niewinnym zegarem.

Kapitan zdawało się, nie słyszał ani odpowiedzi gospodarza, ani tego, co mówił nowy jego znajomy.

Znalazł swój płaszcz i zaczął już go wkładać, kiedy drzwi pod naporem wiatru rozwarły się szeroko; piekielna wrzawa wdarła się do środka, że mimowoli odstąpił od wejścia.

Z tej chwili skwapliwie skorzystał gospodarz, który odebrał kapitanowi płaszcz i zawiesił go na dawnem miejscu. Sługa tymczasem spiesznie zamykał drzwi na klucz.

Kapitan zajął swoje miejsce. Cała sylwetka jego wyrażała obecnie rezygnację.

Nietylko dzielący z nim stół panowie, lecz wszyscy obecni przyglądali mu się ciekawie.

Kapitan powoli odzyskiwał spokój. Kazał podać sobie herbaty i, zwracając się do przygodnych swoich znajomych, powiedział:

— Zachowałem się przed chwilą jak warjat. Winienem panom wyjaśnienie. O ile więc nie boicie sie panowie nudzenia was moją przygodą...

— Ależ, bynajmniej...

— Prosimy, prosimy.

Przysunęli się bliżej.

Kapitan dopił herbatę i, zaciągając się wonnym papierosem, zaczął opowiadać:

— Kiedy rozpoczęła się wojna z bolszewikami, byłem młodym chłopcem. Poszedłem na front w charakterze ochotnika. Pilno mi było: bałem się, że... pobiją bolszewików bezemnie.

Po pół roku byłem już podporucznikiem. Zostałem przydzielony do pułku, w którym brakowało bardzo oficerów.

Wędrowałem przez cały dzień. Szarzało, kiedy odnalazłem swój pułk.

Zaznajomiłem się z kolegami, rozejrzałem się po okolicy i, po więcej niż skromnym posiłku, położyłem się spać. Ziemiankę dzieliło ze mną trzech kolegów. Zasnąłem natychmiast...

Wtem coś mnie obudziło. Zerwałem się na równe nogi... Serce biło gwałtownie. Czułem ogromny niepokój. I nagle zrozumiałem, że obudził mnie zegar... Wygrywał melodję, którą słyszeliśmy tutaj przed kilku minutami. Okazało się, że był własnością porucznika I., który, mając dyżur o godzinie drugiej w nocy, nastawił odpowiednio mechanizm jego pozytywki.

Położyłem się znowu, ale zasnąć już nie mogłem. Byłem ogromnie zdenerwowany. Coś mnie gnało z ziemianki. Wyszedłem. Noc była jasna. Obstrzału nie było. Poszedłem w stronę wioski, która znajdowała się w promieniu jakichś pięciu kilometrów od okopów.

Uszedłem może z połowę drogi, kiedy usłyszałem za sobą straszliwą detonację. Zawróciłem. Bolszewicy rozpoczęli obstrzał. Nasi odpowiadali.

Prawie biegłem w stronę mojej ziemianki i raptem...

— Boże, czy to przywidzenie? — pomyślałem. — Może śnię? Może się mylę co do miejsca?

Niestety, miejsce było to samo. Z prawej strony widać było wyraźnie stary dąb, z lewej — sosnę, na której wierzchołku mieścił się nasz punkt obserwacyjny. Nie było tylko ziemianki. Olbrzymi lej zajął jej miejsce. Zginęło dwóch oficerów, którzy w chwili wybuchu mocno spali.

Pomyślałem, że gdyby nie zegar, który mnie zbudził i dziwnym lękiem napełnił, podzieliłbym los nieszczęśliwych towarzyszów...

* * *

— Drugi wypadek zdarzył się trzy lata temu. Jechałem do siostry, żeby spędzić u niej swój urlop.

W wagonie zaznajomiłem się z pewną przystojną panią, żoną naczelnika małej stacyjki.

Właściwie mówiąc, ciekawego typu urody pani Hela nie przedstawiała. Narzekała na nudy, mówiła, że mąż jej jest człowiekiem mało inteligentnym, nie potrafi więc jej zrozumieć. brakuje jej duszy pokrewnej, bo i któż mieszka w takiem małem miasteczku!

— Typ rzeczywiście dosyć pospolity — odezwał się sąsiad kapitana, bezrobotny człowiek o nerwowych ruchach i skrzypiącym głosie.

— Wychodząc zamąż — ciągnął kapitan swoje opowiadanie — marzyła o

innem życiu. Myślała, że będzie się bawiła, będzie miała odpowiednie towarzystwo; tymczasem siedzi w jakiejś wstrętnej dziurze, gdzie nawet ubrać się porządnie nie można. „A zresztą" — dodała melancholijnie — „dla kogo bym się ubierała? Nie dla męża przecież, za którego wyszłam jedynie w celu opuszczenia domu rodziców, gdzie także nie widziałam niczego dobrego".

Łzy zakręciły się w jej niebieskich oczach i taką wydała mi się biedną i niezaradną, że zacząłem ją pocieszać, głaszcząc po rękach, tembardziej, że ręce miała ładne. Plotłem przytem jakieś bzdury, że mam stosunki, postaram się więc o przeniesienie jej męża do większego miasta, najlepiej do Wilna, gdzie sam mieszkam; że ją rozumiem (nie tak, jak mąż!), że, podobnie jak ona, odczuwam brak duszy pokrewnej (w tej chwili zacząłem ją całować po rękach). Nie potrzebuję chyba zaznaczać, że w przedziale oprócz nas dwojga nikogo nie było.

— A to bałamut z pana! — przerwał po raz drugi jegomość przy stole.

— Ciekaw jestem, coby pan zrobił na mojem miejscu — wzruszył ramionami kapitan — spotkałem młodą kobietę, spragnioną przygody...

— Brać... oczywiście brać to, co samo wpada w ręce! — zaskrzypiał jegomość, nerwowo zapalając papierosa. — Nie wiem tylko, jakby zareagował mąż, gdyby tak wszedł podczas tej sielanki do wagonu?

— Mniejsza o to — z uśmiechem powiedział kapitan. — Słuchajcie, panowie, co było dalej.

— W pewnej chwili wszedł konduktor, zapalił światło i oznajmił, że dojeżdżamy do... mniejsza zresztą o to... jednem słowem do tej stacji, gdzie mieszka pani Hela.

Ona omal nie płacze: przygoda nie dobiegła końca. Ale o czemś sobie przypomina i zaprasza mnie na kolację z tem, że za dwie godziny pojadę dalej.

— A co na to powie „mało inteligentny" mąż? — zapytuję siebie w duchu. Pani Hela, jakby zgadując moje myśli (nic dziwnego — pokrewna dusza!), mówi: „mąż wraca z urlopu dopiero jutro".

Zgadzam się wobec tego bez wahania i w kwadrans później siedzę w jadalni pani Heli za suto zastawionym stołem. Gospodyni, żeby nie budzić służącej, sama zaparza herbatę.

Bije godzina jedenasta. Pociąg, którym miałem jechać, sapiąc, odchodzi ze stacji. Udajemy, że nie słyszymy i dopiero w pół godziny później zaczynamy się dziwić, że tak cicho odszedł, oraz rozpaczać, iż zmuszony jestem czekać na następny aż do godziny czwartej.

Przechodzimy do salonu. Pani Hela opowiada znowu o swojem szarem życiu, ja pocieszam ją coraz goręcej.

Raptem za ścianą odzywa się zegar. Wygrywa tego samego walca, którego raz już słyszałem. Jednocześnie odzywa się gwizd nadchodzącego pociągu. Serce we mnie zamiera. Przed oczami zjawia się ziemianka, zabici, koledzy...

Nie mogę ruszyć się z miejsca. Czuję jednak, że grozi mi niebezpieczeństwo. Muszę „wiać" natychmiast! Biegnę do przedpokoju, chwytam płaszcz, kapelusz, walizę i, będąc już w otwartych drzwiach, posyłam ukłon pożegnalny oszołomionej pani Heli.

Odwracam się i wpadam na kogoś... przypuszczam, że na męża pani Heli. Odtrącam go i jak warjat lecę dalej.

Widzicie więc, panowie, że i w tym wypadku... ależ na miłość boską, co panu jest?

Pytanie to zostało skierowane do bladego pana, którego skrzypiący głos ze złością odpowiedział:

— Tym „kimś", na kogo pan owej nocy wpadł, byłem ja, kapitanie!

OD BIAŁYCH KATEDR DO MIAST-OGRODÓW

Na domach i ulicach wielkiego miasta, niby w pokładach geologicznych odczytać można ślady przeszłości: narastanie i przetwarzanie się stylów. O ile jednak dawniej proces ten odbywał się powoli — w XX wieku nastąpiło gwałtowne przyspieszenie rytmu przemian.

Nic dziwnego, że niebawem ujrzeliśmy przedziwne kontrasty, osobliwą mieszaninę już nietylko stylów, ale wręcz indywidualnych pomysłów architektonicznych.

Jednym z wybitnych szermierzy nowych form w budownictwie jest architekt francuski Le Corbusier. Nazwisko jego stało się głośne, jako jednego z tych budowniczych, którzy chcieliby nadać naszej epoce bardziej jednolity i oryginalny styl, dostosowany do potrzeb życia. Właśnie niedawno ukazała się książka Le Corbusiera p. t. **„Kiedy katedry były białe"**.

Należałoby stworzyć — powiada Le Corbusier — nowy świat w dziedzinie budownictwa, podobnie, jak to miało miejsce w czasach, kiedy „katedry były białe", t. j. świeże, zanim kamień murów nie nabrał ciemnej barwy. — Tak! dawniej katedry były białe, olśniewające i młode. Cała ówczesna epoka była świeża i młoda — oświadcza autor.

Pomysłów architektonicznych Le Corbusiera nie można realizować fragmentami, ani stosować ich do jednego budynku. Autor obejmuje w swych projektach również zagadnienia urbanistyczne. Na próby jego planów trzeba więc poświęcić przynajmniej jakąś część miasta. O to właśnie walczy Le Corbusier.

Gmachy wznoszone od roku 1900 są „okropnościami", jak się wyraża Le Corbusier. Zastosowano bowiem technikę stali i cementu do typów architektury z okresu kamienia i cegły.

Trzeba dzisiaj budować z myślą o człowieku, pamiętając, że należy mu dać jak najwięcej słońca.

Molochem, który pożera nowoczesne miasta, powszechną chorobą urbanistyki jest sprawa komunikacji, pochłaniająca stanowczo za dużo energji i pieniędzy.

Okolice podmiejskie Nowego Jorku lub Chicago mają aż 100 km średnicy. Dlaczego? Ponieważ ludzie uciekają z centrów wielkomiejskich, poszukując na wsi wytchnienia; chcą oddychać świeżem powietrzem, czuć trawę pod stopami... Ale ta ucieczka z miasta kończy się niefortunnie, bo okazuje się, że niebawem dookoła — wyrastają nowe domy, jeden obok drugiego, ulice, chodniki... Miasto dogania uciekinierów w ich ustroniu.

Co najciekawsze, że zapominamy o kosztach, które taki rozrost miast pochłania. Rozbudowa wszerz wymaga przecież sieci dróg, torów, tuneli, kanalizacji, wodociągów, linij telegraficznych, telefonicznych, przewodów elektrycznych. A to wszystko kosztuje: nietylko budowa, ale i utrzymanie tych **środków**. Ileż to naszych podatków ulatnia się dosłownie z dymem motorów spalinowych...

Jakżeż więc temu zapobiec?

Przez budowę nowoczesnego miasta. Zdaniem francuskiego architekta nowoczesna technika pozwala wyzyskać **wysokość.** Le Corbusier proponuje budowę gmachów wysokości 50 m (dwukrotnie wyższych niż przeciętne domy paryskie). Możnaby wówczas zmieścić 8 miljonów ludzi w obrębie Paryża. W takiem mieście 12 proc. miejsca pochłaniałyby gmachy, a 88 proc. ogrody. Szerokie zieleńce dzieliłyby jeden dom od drugiego. Chodniki dla pieszych byłyby zupełnie oddzielone od jezdni samochodowych. Dookoła: pola zbóż, łąki, ogrody. Wieś zbliżyłaby się do miasta; miasto stałoby się zieloną oazą.

Kiedy oświadczają Le Corbusierowi, że te projekty są za trudne do wykonania, Corbusier przypomina, że gorzej było w średniowieczu, a przecież ludzie ówcześni nie bali się nowości. Mogliby oni dzisiaj słusznie zawołać: „Jakto, dysponując różnymi gatunkami stali (miękkiej, twardej, chromowanej), cementami, elewatorami i maszynami, służącemi do dziurkowania lub przenoszenia materjałów, mogąc oprzeć się na waszych rachunkach, fizyce i chemji, statystyce — nie zbudowaliście nic godnego i ludzkiego! My — jedynie z kamieni, obkuwając je cierpliwie i łącząc bez pomocy cementu — wznieśliśmy **katedry!"**

Oczywiście poglądy Le Corbusiera trzeba traktować cum grano salis. Wyzyskanie wysokości gmachów oznacza w praktyce budowę domów-uli, w których mieszkaliby ludzie-pszczoły. Autor rozumie wprawdzie niebezpieczeństwo monotonji, które zagrażać może takiemu miastu, lecz odwraca zarzut i pyta: czyż obecne miasta nie grzeszą właśnie brakiem jednolitości? Jednolitość jest cechą dodatnią w architekturze.

Amerykańskie drapacze chmur — trzeba to przyznać — mają swoją sugestywną wymowę. Zdaleka przypominają średniowieczne zamki o wyniosłych wieżycach i przepaścistych ścianach. Chodziłoby więc o to, żeby u ich stóp, zamiast ciemnych wąwozów ulic — rozścielały się trawniki i ogrody... Pięknie, ale czyż nawet wówczas nie zabrakłoby zielonej przestrzeni dla tylu mieszkańców domu? Czy nie powstałaby znowu konieczność przenoszenia się gdzieś dalej, co wymagałoby po staremu — środków komunikacji?

Może niezadługo usłyszymy coś o takich próbach, a wtedy przestaniemy obracać się w sferze przypuszczeń i teoryj.

J.

ZIELONE „BALETNICE"



Młode żabki z szczątkowym ogonem oddychają już płucami i mogą wychodzić na ląd.



Dorosły okaz zielonej żaby.

Gdy pod wpływem ożywczego tchnienia wiosny ukazują się pierwsze listeczki, odcinające się od szarego jeszcze tła żywą zielenią szmaragdu, gdy gaje, ogrody i lasy zaczynają rozbrzmiewać wesołemi głosami skrzydlatych śpiewaków, powracających z zamorskich krajów do rodzinnych stron, budzą się także do życia i mieszkańcy stawu. Wypływają na powierzchnię wody ukryte dotąd ślimaki, ukazują się liczne wodne owady, żwawo poruszają się drobne rybki. Przeciągają swe zdrętwiałe członki zbudzone ze snu zimowego żaby, opuszczając swe zimowe kryjówki i wychodząc na ląd. Wieczorem rozbrzmiewa radosna pieśń — donośne rechotanie. To niejako powitalny koncert na cześć nadchodzącej wiosny. Niebawem rozpoczyna się pieśń weselna i wkrótce samice składają do wody wielkie ilości skrzeku, utworzonego z drobniutkich, galaretowatych jajeczek, tworzących jedną wielką masę. Przeźroczyste i niewidoczne przez to jajeczka zdane są na łaskę losu, ponieważ małżeńska para żabia nie troszczy się już o dalsze ich koleje.

W maleńkich jajeczkach zaczynają się odbywać jakieś dziwne przemiany. Oto drobna, ciemna kuleczka, znajdująca się w pośrodku galaretowatej osłonki wydłuża się i przybiera postać przecinka. „Przecinek" ten szybko rośnie a równocześnie zanika galaretowata substancja, która stanowi dla rozwijającego się zarodka pierwsze i jedyne pożywienie. Wkrótce z galaretowatej osłonki uwalniają się niezliczone ilości maleńkich, ruchliwych czarnych stworzonek. Są to kijanki. Sprawiają one wrażenie malutkich rybek. Całe ich ciało stanowi duża głowa, na której z przodu widoczny jest maleńki pyszczek oraz długi, spłaszczony ogon. Maleństwa przyczepiają się do roślin wodnych, żywiąc się jedynie pokarmem roślinnym. Gdy tuż za głową wyrosną im pęczki, jakgdyby delikatnych piórek, stanowiących skrzela, odrywają się od gałązek roślin i zaczynają pływać samodzielnie. Po pewnym czasie zmieniają swój dotychczasowy wygląd: na głowie stają się widoczne oczy oraz otwory nosowe, skrzela zaś maleją i zwolna zamieniają się na skrzela wewnętrzne, ukryte w ciele. Szczęki kijanki twardnieją i pozwalają jej na zdobywanie pokarmu mięsnego. Nie brak teraz w życiu tych stworzonek dramatycznych momentów. Oto jedne kijanki padają ofiarą drugich, „bratożerstwo" uchodzi bezkarnie i słabsze kijanki giną w szczękach silniejszych. Rozwój szybko postępuje naprzód. Na granicy tułowia i ogona, który stanowił jedyny dotychczas narząd ruchu kijanki, zjawiają się tylne nogi, służące do pływania. Rozpięta błona pomiędzy palcami ułatwia ruchy w wodzie. Przednie nogi, które są znacznie krótsze, wyrastają dopiero później. Dziwnie wyglądają te małe potworki żabie, które coraz częściej podpływają teraz pod powierzchnię wody i wychylają swe główki, na których widać duże i wypukłe oczy. Wypływając na wierzch wody, muszą one zaczerpnąć do swych płuc powietrza atmosferycznego, skrzel już bowiem nie posiadają, uległy one zmianie na nowy narząd oddechowy. O ile kijanki nie opuszczały środowiska wodnego, maleńkie jeszcze niezupełnie wykształcone żabki mogą wychodzić na ląd. Rozwinięte płuca pozwalają im oddychać powietrzem, pod wodą natomiast nie mogą pozostawać przez czas dłuższy, gdyż groziłaby im śmierć przez uduszenie. Ogon staje się już niepotrzebny, powoli więc zanika. Nadchodzi wreszcie chwila, gdy zawiła przemiana dobiega kresu i prawidłowo rozwinięta żabka skacze po ziemi, polując na muchy i inne owady, lub też zręcznie pływa i nurkuje w wodzie.



Rabusie wodne, żółtobrzeżki, pożerają pokonaną żabę.

Zdawaćby się mogło, że życie takiej żabki jest lekkie i beztroskie. W rzeczywistości jednak nie brak jej wrogów, którzy jej zagrażają tak na lądzie jak i w wodzie. Długonogie bociany pożerają je w dużej ilości lub niosą do gniazda dla swych dzieci jako smakowity i delikatny kąsek. Nieraz giną w dziobie kaczki lub szeroko rozwierającej się paszczy wodnego węża — zaskrońca. Wrogiem żab jest również drapieżny chrząszcz wodny — żółtobrzeżek.

U nas żyje kilka gatunków żab, z których najpospolitszemi są: żaba zielona zwana także jadalną (Rana esculenta) oraz żaba płowa czyli skroniówka (Rana temporaria). — O ile pierwsza z nich trzyma się stale wody i zamieszkuje różne zbiorniki wodne o gęsto zarośniętych brzegach a więc stawy, jeziora a nawet i niewysychające kałuże, o tyle druga może przebywać w wilgotnych lasach lub podmokłych łąkach a także na moczarach. Żaba płowa jest jedną z żab, która najwcześniej budzi się na wiosnę.

W niektórych gatunkach żab zasmakował także człowiek, zjadając delikatne ich udka. Ulubioną potrawę stanowią one szczególnie we Francji, nie gardzą też niemi w Niemczech, a we Włoszech zjadane są nawet w całości. Nic też dziwnego, że znaczne ich ilości giną dla dogodzenia podniebieniu człowieka. W Ameryce nie brak nawet hodowców jadalnych żab, którzy zakładają sztuczne stawy, otaczając skrzek żabi opieką. — W nagrodę za to dochowują się pokaźnej ilości żabek, które przeliczone na gotówkę dostarczają im dużego dochodu.

Z. M.






Od lewej: Skrzek żabi, obok młodziutkie kijanki, opuszczające galaretowate osłonki. — Wyrośnięte kijanki, t. zw. głowacze, u których tworzą się zawiązki tylnych nóg. — A oto kijanki pasiadające już tylne odnóża. — Dalsza faza rozwoju: przybyły też odnóża. przednie

Zwyciężony zwycięzca

Wnikliwy, sięgający w głąb problemów historycznych pisarz niemiecki, E. A. Reinhadt, autor „Eleonory Duse" i „Napoleona i Eugenji", monografij, ujętych niezmiernie ciekawie, przerastających o całą głowę najnowsze dzieła Emila Ludwiga, zalatujące rutyną pisarską, obdarzył czytelników dziełem naprawdę wartościowem.

Tytuł książki, spolszczony dosłownie: „Późna jesień Henryka IV". Spróbujmy nakreślić sylwetkę bohatera.

Powiedzenie Stendhala, że gdyby zrobiono Henryka IV eunuchem, mogłaby sława jego przyćmić wielkość Aleksandra i Cezara, nie jest wcale paradoksem!

Historja jest tu najlepszym sprawdzianem, kronika sucha i treściwa, wymieniająca 3 walne bitwy, 35 potyczek i ponad 300 oblężeń dokonanych, czy wytrzymanych przez Henryka z Nawarry i Béarn. Od wieku pacholęcego, mając zaledwie 15 lat, spędzał swój czas i żywot pracowity wojownika w obozie, w polu, w walkach na dystans i w starciu orężnem, topór o topór, szabla o szablę, życie o życie. Był „na ty" ze śmiercią i wyzywał ją, jak się wyzywa partnera do szachów, kiedy szanse mniej więcej są równe.

Biała kita na hełmie Bon Henri (jak go nazwała później sługębna fama — miano przerwało wieki), — stanowiła potem pewnego rodzaju legendę. Przeszła ona do historji, bo widziano ją, kiedy książęcy, a później królewski wódz szarżował na czele garstki kawalerji przeciw wojskom nieprzyjacielskim, pokilkakroć silniejszym liczebnie.

Wojny i walki potwierdziły indygenat wielkopański człowieka, który ostatecznie zawdzięczał jeno przypadkowi, że urodził się kuzynem Henryka III, zasztyletowanego przez mnicha Clément w r. 1589, w czasie oblężenia Paryża.

Na łożu śmierci wyznaczył król następcą swoim pana Nawarry i Béarn; korona Ludwika św. spoczęła po raz pierwszy na czole reprezentanta tej linji i dostała się Henrykowi IV. Umiał ją nosić z godnością, zdołał bronić swych praw żelazną dłonią, rozdającą z równym impetem razy i cięgi śmiercionośne, jak łaski i dary, iście królewskie!

Nie mylił się nigdy prawie w kwestjach, dotyczących taktyki wojennej, umiał przeprowadzać z precyzją mistrza grę dyplomatyczną, dysponował, jak na owe czasy, świetnym wywiadem, ale — errare humanum est — mylił się jakże często w doborze ludzi, którymi się otaczał, a w późniejszem życiu wyręczał się nimi i powierzał im funkcje niezmiernie ważkie.



Kochanka Henryka IV, Henrietta d'Entragues.

Na gościńcu, wiodącym Henryka IV. do sławy, na drodze do tronu, legli najlepsi z przyjaciół jego wczesnej młodości. Pokładli się pokotem najwierniejsi druhowie. Książęta Guise, zamordowani okrutnie w Blois, na rozkaz Henryka III. Młodzi i chwaccy panowie Joyeuse, zarąbani na śmierć i odarci do naga, w lichej chacie wieśniaczej, w czasie bitwy pod Coutras.

Nie zawiedli, przynajmniej jawnie, nieodłączni towarzysze do wypitki i wybitki: Montmorency, Rosny (późniejszy duc de Sully), Crillon, Lesdiguière, bractwo, skore do boju i do polowania, do jadła, jeden za dziesięciu, i do kielicha, jeden za dwudziestu!

Ale zawiódł szpetnie człowiek, któremu król ufał niezmiernie i omalże nie postradał państwa przez swoją ufność. Zawiódł Biron, syn marszałka Francji, nieustraszonego w boju, znanego z odwagi i pijaństwa, powalonego kulą armatnią u boku Henryka IV, w czasie oblężenia Epernay.

Syn wodza i sam wódz niezawodny, Karol Gontard Biron, wyniesiony łaską królewską do wielkich godności: marszałka Francji, gubernatora Burgundji, a więc posiadający ogromne stanowisko i najwyższe dochody, Biron, któremu król osobiście uratował potrzykroć życie, wyrąbując go z tłumu żołdaków hiszpańskich, knuł przeciw swemu monarsze w ukryciu i jawnie, zależnie od okazji.

Niedarmo skarżyła się królowa Marja Medycejska na przenikliwy, niemiły wzrok Birona. Lękała się „jettatury". I oto Biron zaczyna któregoś dnia stawiać na jedną kartę. Wdaje się w konszachty z Hiszpanją, posyła raz wraz zagranicę tajne raporty, donoszące o planach swego monarchy.

Sprzymierzył się z księciem Karolem Emanuelem Sabaudzkim, któremu donosił jak najdokładniej o ruchach wojsk, zmierzających pod dowództwem... Birona ku granicom Sabaudji, a miał obiecaną księżniczkę Sabaudzką za żonę!...

Biron, oddający się w ostatnich latach swego życia czarnej magji i astrologji, natknął się na szarlatana, który przepowiedział mu kiedyś śmierć z ręki człowieka, pochodzącego z Dijon. „Człowiek ten uderzy cię z tyłu i zada ci śmierć".

W istocie, kiedy dnia 31. lipca 1602 r. poprowadzono Birona na szafot, uderzył go toporem i „pozbawił go drogiego życia" kat, pochodzący z Dijon.

Rozczarowali go ludzie, ale ostatecznie byli to mężowie, których darzył przyjaźnią i łaską królewską, nadaniami, posiadłościami, mitrami książęcemi, nie szukając rekompensaty.

O wiele gorzej dla króla, kiedy chodziło o kobiety. Było ich tak dużo w jego życiu niespokojnem, trzepoczącem się, niby ptak na uwięzi. Rozczarowały go wszystkie, lub prawie wszystkie, ślubne żony i konkubiny, nałożnice i przygodne partnerki czułych godzin.

Ale najwięcej bodaj dokuczyła Henrykowi IV młoda Henryka d'Entragues, pochodząca z Tourain, z domu szlacheckiego, choć niezbyt... szlachetnego!

Kiedy król, zrzuciwszy zaledwie strój żałobny po stracie Gabrjeli d'Estrées, kochanki, zmarłej w gorączce połogowej,



Henryk IV, król Francji i Nawarry.

w r. 1598, zwrócił swoje uczucia ku Henryce d'Entragues, zażądała miła rodzina umiłowanej, aby król zapłacił jako „praetium affectionis" 100 tysięcy talarów! Taką cenę miała dziewica wątpliwej konduity i problematycznej cnoty szlachetnie urodzona Henryka. Mało tego! Rodzice Henryki, otrzymawszy pieniądze, zażądali, przed wydaniem objektu kupna-sprzedaży, tytułu markizy dla wybranki serca królewskiego i odpowiedniej temu tytułowi posiadłości ziemskiej.

Posunęli się jeszcze dalej, widząc niesłabnące zainteresowanie starzejącego się króla. Zażądano jako conditio sine qua non, aby król Henryk sporządził na korzyść „córeczki" zobowiązanie ślubne, na wypadek, że Henryka urodzi mu syna z tego związku nielegalnego. (Henryk IV miał podówczas ślubną żonę, Małgorzatę Valois, pochodzącą z rodu, który dał Francji na przestrzeni 261 lat 13 królów i Henryk nie mógł narazie uzyskać rozwodu, czy unieważnienia małżeństwa).

100.000 talarów, to była podówczas suma bardzo pokaźna, bo dochody państwa wynosiły rocznie 15 miljonów talarów. Cena zawarcia pokoju z księciem Mercoeur, przywódcą Ligi, wynosiła np. 236.000 talarów! A przecież król był skąpy i małostkowy w kwestjach pieniężnych. Znany z tego, że ilekroć zjawiał się na jarmarkach w St. Germain, to dawał kupcom za przedmiot, oceniony na 20 talarów, najwyżej 6 talarów! Ponadto osiągnęła nędza we Francji w krytycznym roku 1596-ym nasilenie tak wielkie, że ściągnęło do Paryża 14 tysięcy obcych żebraków, uciekających z prowincji, puchnącej od głodu.

Zobowiązanie „ślubne" brzmiało jak następuje: „My, Henryk IV, z Bożej Łaski król Francji i Nawarry, obiecujemy i przysięgamy wobec Boga, na wierność i słowo królewskie, panu François de Balsac-d'Etrangues, że czynimy córkę jego pannę Henrykę Katarzynę de Balsac-Etrangues naszą towarzyszką, a na wypadek, iż zajdzie ona w ciążę w ciągu 6 miesięcy od pierwszego dnia niniejszego miesiąca licząc, i urodzi syna, natenczas weźmiemy ją za żonę i prawowitą małżonkę, z którą zawrzemy ślub publicznie i wobec Św. Kościoła, według reguł i uroczystości, przewidzianych w tym wypadku. Celem nadania większego waloru

Dokończenie na str. 18.

TAŃCZĄCE CIENIE...
ZESPÓŁ BALETOWY ELWIRY MAN.
Presse Photo — Berlin.







W cztery oczy



Dzięki usilnym staraniom u władz państwowych, p. Zygmunta Nowakowskiego, udało mu się uzyskać jeden dzień w roku dla stojących pod jego opieką zwierząt, na wyłączny ich użytek. Dzień ten poświęcony będzie swobodnemu, intelektualnemu i fizycznemu rozwojowi tych miłych stworzeń, które dotychczas, skrępowane wszelkiego rodzaju cenzurą, nie mogły się swobodnie wypowiedzieć. Obawy, jakie władze żywiły przy udzielaniu zezwolenia na Dzień Zwierząt odnosiły się zwłaszcza do osłów, psów i małp, które mogłyby wziąć odpowiedni rewanż na człowieku.

Dowiedziawszy się o szczęśliwem załatwieniu sprawy „Dnia zwierząt“ podążyłem do ZOO, aby tam przeprowadzić z niektóremi z nich odpowiednie wywiady i poinformować naszych Czytelników o psychice tego mało znanego światka.



Wywiady zacząłem od strusia. Dopiero po dłuższej chwili mogłem doszukać się jego głowy, którą trzymał swoim zwyczajem w piasku. Minę miał dosyć poważną, a nawet ponurą, jakgdyby chorował na żołądek.

— Proszę mi wierzyć, — mówił mi struś — że moje życie nie jest bynajmniej miłe. Zwłaszcza w okresie wiosennym, kiedy Paryż lansuje nowe mody kapeluszy z piórami strusiemi, rola moja jest zupełnie przykra, muszę sobie wtedy dla dobra ludzkości poprostu odejmować pióra od ogona, by zadowolić modę! Jedyną pociechę mojego życia stanowi sława, jaką cieszę się w polityce, gdyż większość mężów stanu stosuje moje fortele dyplomatyczne. Oczywiście nie mogą oni mi sprostać, bo nie mają tak giętkiej i długiej szyi.







Nie skończyłem jeszcze wywiadu ze strusiem, kiedy pochyliła się nademną długa, centkowana szyja żyrafy. Oczy jej błyszczały ciekawie, gdyż pierwsza ze wszystkich zwierząt dowiedziała się o mojem przybyciu, obserwując mnie już na drodze do ZOO.

— Uniżony sługa — usłyszałem za sobą głos miłego zwierzęcia.

— Nie wiedziałem, że pan jest akrobatą — odrzekłem nieco zdziwiony. Ale á propos, jak pan się czuje w nowej siedzibie?

— Wie pan, mówiąc szczerze, to niebardzo. Jest tu dziwnie pusto. Nie spotykam żadnej znajomej twarzy, a nie lubię się znowu poniżać celem szukania nowych znajomości. Proponowano mi dobrą posadę w PIM-ie, jako obserwatora pogodowego, ale nie przyjąłem oferty, bo nie chcę się narazić na krytykę prasy. Jeżelibym naprzykład „wytypował“ deszcz, a ukazałoby się słońce, straciłbym wszelkie poważanie u moich kolegów.

W miarę jak opowiadała o swoich przejściach postać jej się wydłużała, aż wkońcu zdawała się ginąć w chmurach.

Obok w płaszczarni nęciła mnie wizyta u wspaniałego srebrno-piórego łabędzia. Dużo słyszałem o licznych przygodach tego romantycznego ptaka, a ostatnio dużo opowiadano o jego romansie z żoną pewnego dygnitarza państwowego, Ledą, który skończył się strasznym skandalem w jednym z dancingów stołecznych.

Zbliżam się do wytwornego uwodziciela z porozumiewawczym uśmiechem. Łabędź wskazuje mi miejsce w stawie ruchem swych srebrnych skrzydeł.

— Bardzo się cieszę, że pan mnie odwiedził, chociaż wyszedłem ostatnio z mody. Zresztą znudziły mi się te ciągłe pozowania malarzom, którzy w dodatku nie chcieli mi za to nic płacić. Od czasu Wagnera nie mam poprostu co robić na tym świecie. Wprawdzie proponowano mi ostatnio karjerę śpiewacką, ale wolałem nie ryzykować.

Wysłuchawszy tych zwierzeń udaję się do bociana, który swoim zwyczajem stoi na ostatniej swej nodze. Widzę na pierwszy rzut oka, że mam do czynienia z patrjotą: jego biało czerwone ubranie budzi odrazu mą sympatję. Gdy się zbliżam, widzę, że bocian jest zaczytany i studjuje gramatykę włoską.

— Come sta signore? Jak się panu stoi? — pytam go, robiąc aluzję do jego niewygodnej nieco pozycji.

— Ano zapracowany jestem bardzo, drogi panie! Właśnie otrzymałem od Mussoliniego specjalny przydział do kilku miast i tytuł tajnego doradcy małżeńskiego, więc nagwałt uczę się po włosku! Wkrótce wyruszymy znów do słonecznej Italji, w szyku...

— boyowym — kończę zdanie mego interlokutora.

— Ale broń Boże, ja z Boyem nic nie chcę mieć do czynienia. Stoimy na przeciwnych biegunach tego samego konika...

Pytam się miłego ptaka o jego podróże, spostrzeżenia i wrażenia.

— Dużo widziałem ciekawych rzeczy, zwie-

za się, — a ostatnio byłbym przyjął stanoisko na pewnym okręcie: proponowano mi olę obserwatora w bocianiem gnieździe, ale właśnie przyszedł rozkaz mobilizacyjny od Ducego. Teraz czekają mnie wielkie zadania, ak również kolegę gołębia. On też ma sporo pracy w Lidze Narodów.

Skończywszy rozmowę z bocianem udaję ię do pięknej zebry, która właśnie czyści obie sierść „elektroluxem". Spostrzegam ednak, podszedłszy bliżej, że pasy na jej skórze są dziwnie nikłe.

— Przepraszam panią bardzo, że zapytam ię o coś może niezupełnie dyskretnego. Ale widzę, że pasy u pani są jakieś takie niewyraźne. Czyżby się ich w tym roku nie nosiło?

— Nie, proszę pana, — objaśnia mnie z uroczym uśmiechem przystojna młoda zebra, — tylko niedawno temu w Afryce dostałam naraz silnego swędzenia skóry. Toteż podeszłam do jednego drzewa i poczęłam pocierać o nie grzbiet. Okazało się, że było to drzewo gumowe i pasy wytarłam przez nieuwagę.

Nieludzkie wrzaski, które dolatywały z jednego z pawilonów ZOO przypomniały mi, że miałem odwiedzić również małpę. Przywitała mnie nieco drwiącym uśmiechem, podnoszą brwi wgórę.

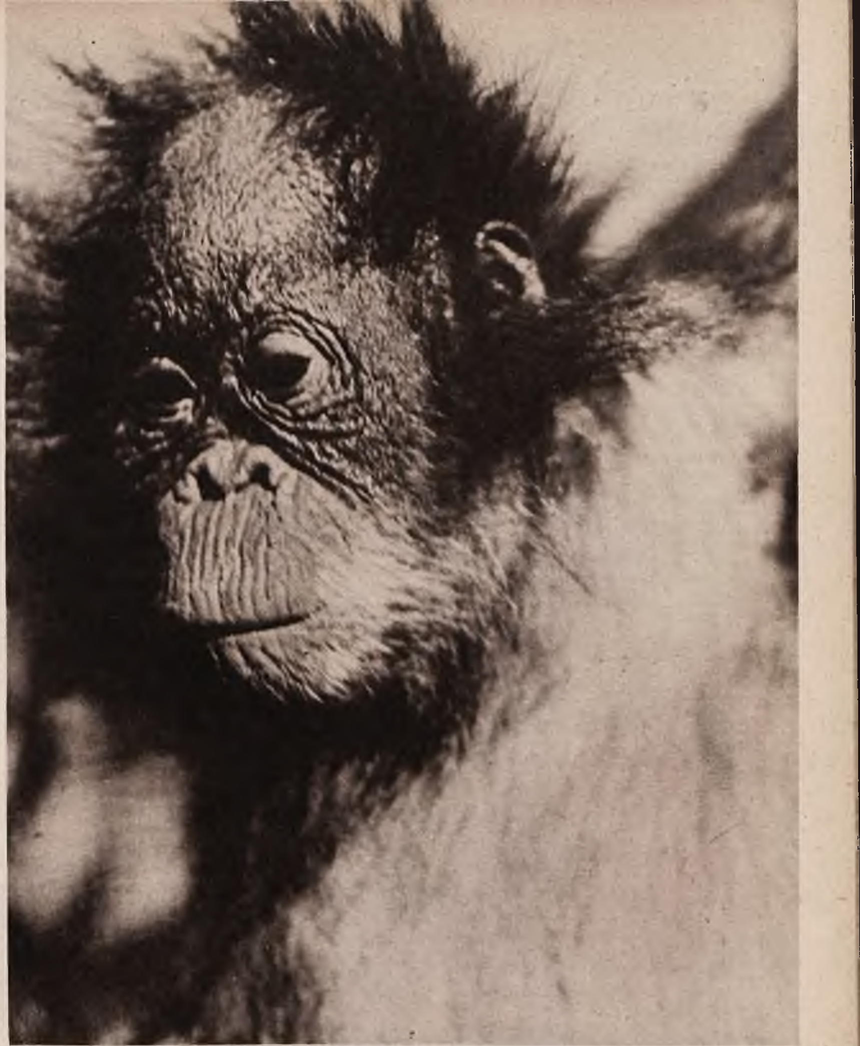
— Jak się masz kuzynie! — rzekła, wyciągając ku mnie prawicę.

— Widzę, że pani zna teorję Darwina! — zauważyłem mimochodem, aby nawiązać rozmowę.

— O, wie pan, ludzie wszystko sobie przywłaszczają, nawet fikcyjne pokrewieństwa To poprostu plagja! zresztą tak obecnie modny. — Nasz Syndykat Obrony Praw Małpy zamierza na najbliższej sesji Ligi Narodów zaprotestować przeciwko tym krzywdzącym pogłoskom! Nie jesteśmy znowu na tyle małpami, aby zaraz być krewnymi człowieka!

— To jakaś sufrażystka i maniaczka — pomyślałem. — Wobec agresywnego tonu, jakim przyjęła małpa, wywiad mój z nią zakończyłem na wymianie uprzejmych słów i ukłonów.

Już wychodząc z ZOO, zauważyłem w ptaszarni wspaniały okaz gołębia, który swą piękną postawą budził moją szczerą sympatję. Przypomniałem sobie jego kuzynów zpod kościoła Marjackiego, z którymi byłem w przyjaźni, to też zagadnąłem doń serdecznie:







— Cieszę się, że pana widzę. Bardzo lubię pańską skrzydlatą rodzinę!

— Nie długo już ludzie będą nas oglądać! Wycofujemy się z życia publicznego i ograniczamy się do zamieszkiwania starych domów, kościołów i murów. Ja sam tyle już przeżyłem, że mam również dosyć. Naprzód byłem gołębiem-listonoszem, ale musiałem wkrótce prosić o dymisję, gdyż dostałem silnych bólów w nogach! Następnie przeznaczono mnie jako gołębia pokoju do Ligi Narodów, ale i tam nie mogłem długo wytrzymać, bo chciałem być naprawdę czemś, a nie gołębiem — malowanym. Obecnie zdziczałem z tych wszystkich powodów i pozwalam się oglądać jako rzadki okaz dzikiego gołębia za wstępem. A zresztą mam was, ludzi, powyżej uszu. Wasze głupie przysłowia: „Same gołąbki nie lecą do gąbki", „gołębie serce" itd. obniżają nasz autorytet wobec innych zwierząt. Jestem tak tem wszystkiem zgorzkniały, że chyba polecę do Monte Carlo i wezmę udział w „Tir aux pigeons", aby raz z tem skończyć!

Widząc, że i tym razem spotkałem się z pesymsitą, pożegnałem go i zmierzałem ku wyjściu. Tam powitał mnie poczciwy duży stary pies. Właściwie nie należał on do żadnej określonej rasy, lecz był poprostu międzydzielnicową mieszanką.

— Moje uszanowanie panu! — powitał mnie służbiście. — Widzę, że pan szanowny wraca z wywiadów w ZOO. Właśnie przyleciała papuga z tą wiadomością.

A może i z psem zrobić wywiad? — pomyślałem. Choć ogólnie znany, może coś ciekawego powiedzieć.



— Panie kochany, jak pan się tu czuje na posadzie? Dużo roboty? Dobra pensja?

Pokręcił wąsa, uśmiechnął się żałośnie, zaczął przestępować z trzeciej nogi na drugą i rzekł:

— Ano tak, proszę łaski pana, stróżem tu jestem. Powierzono mi to odpowiedzialne stanowisko, jako że ludziska mnie znają z mej uczciwości. A tu trzeba mieć otwarte oczy, uszy, nos i zęby w pogotowiu. Bo to ludzie takie psotniki i ladaco! Nie powiem, żeby mi się dobrze powodziło. Ale co robić? Jeżeli mnie potrzebny jest człowiek, to ja jemu jeszcze bardziej! Niech pan mi wierzy. Ta posada w ZOO to mój ostatni etap. Dawniej łapałem zające, tropiłem kuropatwy, goniłem za lisem, a teraz zeszedłem na... człowieka! Moje uszanowanie dla pana!

Gdy oddalałem się, Nero długo jeszcze machał ogonem, na znak pożegnania i patrzał się za mną swemi poczciwemi, buremi oczami.

Jan Maleszewski.



Telemark
NA KROKUSOWEM POLU...



Na szczycie Parsenn...
Zdjęcia fot. Z. Borzęcki, Davos

Czy może być coś oryginalniejszego — coś cudowniejszego dla narciarza, jak zjazd wśród... kwiatów? — W pierwszej chwili wygląda to na bluff, lub przynajmniej na „made in U. S. A.“, gdzie dla ludzi, dysponujących furą pieniędzy niema niemożliwości, gdzie jeździ się na nartach w lecie, a w zimie gra w golfa...

Zjazd narciarski wśród kwiatów, a więc wówczas, gdy ziemia pod wpływem wiosennego słońca uwolniona ze śnieżnej szaty, pokrywa się pierwszemi zwiastunami nadchodzącego lata — to przecież coś naprawdę niesamowitego! A jednak dla kogoś, kto z wiosną odwiedza zaczarowany kraj górski, jazda na nartach wśród kwiatów jest zjawiskiem codziennem, naturalnem, koniecznem, bez którego wycieczka o tej porze w Tatry, byłaby imprezą szarą, pozbawioną pięknych, najistotniejszych momentów dekoracyjnych.

Ten „cud“ obserwujemy na polach krokusowych, zasłanych niejednokrotnie grubą powłoką firnową, spod której wykłówają się liljowe kielichy kwiatów w koronach soczystozielonych listków.

Narciarz, gdy po udałym szusie z stromego zbocza ląduje na ukwieconej łące, doznawać musi wrażeń, jakie stawały się udziałem zwycięzcy, którego drogę usłano kwiatami. Po telemarku na krokusowem polu niesie go dalej firn, a deski żłobiąc w śniegu drogę, pozostawiają za sobą liljowo-zielone ślady wiosny.

Na prawo: „Bully“ wybiera sie też na firn wiosenny...



Poniżej: Zwycięska wiosna w górach...



Przygotowania do ostatniego zjazdu...



Promienie wiosennego słońca dają radość życia...





Sen na krokusowej łące...

O tej porze daje sobie w górach rendez-vous elegancki świat, którego urocze przedstawicielki z zapałem opalają na bronz swe twarzyczki. Ale wycieczki narciarskie w promieniach gorącego słońca — to więcej, niż zwykła przyjemność; to zdrowie, które ożywczym prądem napływa do organizmu turysty. Dlatego nietylko ludzie bogaci, kierujący się tem, co modne, ale przedewszystkiem jaknajliczniejsze rzesze powinny póki czas korzystać z dobrodziejstw wiosennego słońca w górach. Hasło: Po zdrowie w góry! — w innej porze roku nie będzie tak bardzo na czasie, jak właśnie dziś, z nastaniem promiennej wiosny. **el.**

Dokończenie ze str. 21.

prawnego niniejszej obietnicy, zobowiązujemy się i przysięgamy, jak wyżej, w dowód czego jesteśmy skłonni zaświadczyć naszą pieczęcią i odnowić ten dokument, skoro tylko osiągniemy od Ojca Świętego unieważnienie naszego małżeństwa z Małgorzatą, królową Francji, wraz z zezwoleniem na powtórne zawarcie małżeństwa w jakimbądź czasie. W dowód czego sporządziliśmy powyższe pismo i podpisaliśmy je. Malesherbes, w tymże dniu dzisiejszym 1. października 1599 r.".

Próby wydostania kiedykolwiek niefortunnego dokumentu, sporządzonego w szale miłosnym starzejącego się pana i króla, spełzły na niczem. Szantażowała miła rodzinka d'Entragues tym cyrografem króla Henryka IV. Wędrowały do Rzymu i Florencji sążniste pisma, sfabrykowane przez kauzyperdów i skrybentów, a mające na celu uniemożliwienie małżeństwa Henryka z Marją Medycejską.

Po latach długich odezwie się ten dokument, dzieło furji miłosnej z jednej strony i wyrafinowanego łajdactwa po drugiej. Odezwie się on złowrogo, wstrząśnie podstawami państwa, sięgnie bandyckim chwytem, upozorowanym grą dyplomatyczną, po koronę pierwszego Bourbona na tronie i po życie podstarzałego wojownika Bon Henri.

Sprzymierzyła się familja d'Etrangues z Hiszpanją. Planowano ucieczkę markizy de Verneuil z dziećmi do hiszpańskiej podówczas Flandrji. Możnowładca Flandrji, arcyksiążę Albrecht, miał obwołać na podstawie osławionego dokumentu syna Henryki a bastarda króla — delfinem Francji!

Stary d'Etrangues i pan d'Auvergne, przyrodni brat Henryki, mieli za zadanie zgładzić króla Henryka IV i prawowitego następcę tronu, urodzonego z Marji Medycyjskiej. Egzekucję dokumentu „manu militari" miały przeprowadzić wojska hiszpańskie, wkraczające od strony Lombardji i Flandrji, sprzymierzone z niemi wojska sabaudzkie i burgundzkie, a książę de Bouillon miał wkroczyć od strony Renu z pomocą krewnego swego, hr. Palatynatu.

Cały plan został wykryty przez wywiad Jakóba I, króla Anglji. Z rozkazu jego aresztowano Tomasza Morgana, ciemnego osobnika, parającego się sprawami o doniosłości międzynarodowej, bo przecież chodziło o usunięcie Bourbonów i dokonanie przewrotu we Francji!

Okazało się, że Morgan był w służbie i na żołdzie rodzinki d'Etrangues i... Hiszpanji. Pasierb starego hr. d'Etrangues, a brat przyrodni markizy de Verneuil, wzięty na spytki, przyznał się do wszystkiego. Następuje rewizja w domu Henryki. Siepacze królewscy, pod wodzą sekretarza nadwornego pana Loménie, znajdują moc listów miłosnych markizy, a poza tem małe popiersie Birona, spowite w rękawiczki, nasycone perfumami, pamiątka po marszałku Francji i wielkim spiskowcu, co zginął pod toporem kata.

Król, stanowczy w potrzebie wojennej, a chwiejny i niekonsekwentny, ilekroć chodzi o sprawy sercowe, zdecydował się dopiero w 6 miesięcy po uwięzieniu Tomasza Morgana przyaresztować całą rodzinę d'Entragues, pana d'Auvergne i obstawić wartami dom markizy de Verneuil, mieszczący się przy Faubourg St. Germain. Incipit tragoedia! **Jerzy Olchowicz.**

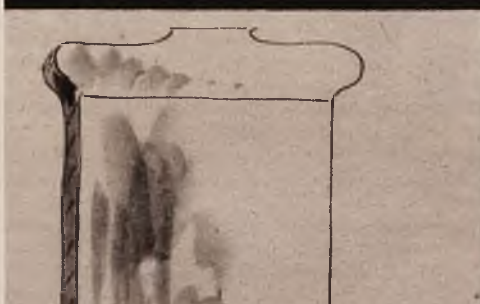
Czy jest pan WYNALAZCĄ?

Choć w niniejszym feljetonie mowa będzie o najbardziej „rewelacyjnych" wynalazkach XX wieku, autor uprzedza, iż sam... wynalazcą nie jest i zaręcza słowem, iż... prochu nie wymyślił! Sądzę, iż stwierdzenie tej okoliczności ułatwi porozumienie między Czytelnikiem a autorem, porozumienie, pozostające na płaszczyźnie rozmowy dwojga ludzi, równych sobie.... trzeźwem zapatrywaniem na świat.

Inaczejby było, gdyby miała to być rozmowa zwyczajnego śmiertelnika z wynalazcą. Prawdopodobnie nigdy nie doszlibyśmy do porozumienia. Czy Państwo rozmawialiście kiedy z wynalazcą? Ja rozmawiałem — i od tego czasu obawiam się o swój rozsądek. No, oczywiście o swój, a nie o rozsądek wynalazcy. Wynalazca jest człowiekiem genjalnym — a przez to pozostaje ponad wszelkie normy, odnoszące się do taksowania pięciu klepek u nas, powszednich śmiertelników. Ja zaś przestałem wierzyć od czasu tej rozmowy, iż potrafię myśleć logicznie i konsekwentnie. Dlaczego? Zaraz się przekonamy.

Genjusz ludzki zawsze miał w sobie coś nadprzyrodzonego. Dlatego współcześni niebardzo rozumieli Kopernika, Newtona, Stevensona. Dla tych samych powodów może nie rozumiemy dzisiaj żyjących wynalazców. Gdy jednak tak modnym obecnie jest kryzys, czyż nie jest do pomyślenia, że i na genjusz ludzki kryzys ten nadszedł?

Kryzys myśli ludzkiej! Oto problem, nad którym wartoby się zastanowić. Nie ulega dla mnie wątpliwości, iż dla innych celów pracował wynalazca przed tysiącem lat, niż pracuje dzisiaj. Oczywiście nie uogólniam sprawy. Edison, Marconi, ludzie nauki, pracujący nad telewizją, lotnictwem, to niewątpliwie jednostki niemniej zasłużone dla ludzkości, jak wynalazcy maszyny parowej i elektryczności. Wyraz, pojęcie, czy nawet tytuł „wynalazca" — spowszechniał jednak w ostatnich latach w sposób niedający się niezauważyć. Spopularyzował się, spospolitował. Jeszcze niedawno — wynalazcą był budowniczy pierwszego parowozu. Dziś tytułu wynalazcy używa twórca nowego „rewelacyjnego" nożyka „uniwersalnego" do krajania marchwi i pietruszki. Bo to też wynalazek, chroniony ustawami państwowemi i międzynarodowemi!



Oto krzesło, służące nietylko do siedzenia, ale również do prasowania spodni!

Nie wątpię, że najwięksi wynalazcy świata — Leonardo da Vinci, Franklin, czy Fulton, tworzyli w myśl pewnych idei, którym poświęcali częstokroć swe życie, nie bacząc na korzyści materjalne. Natomiast dziś — śmiało zaryzykuję to twierdzenie — stanie się wynalazcą wypływa z postanowienia tak, jak obranie sobie zawodu fryzjera czy krawca. Życie wymaga, by wszystko wokół nas odpowiadało „najnowszym wymogom techniki dwudziestego wieku". Na lewo i prawo roi się od dziedzin nie opracowanych jeszcze. Ktoś niema posady — zostaje wynalazcą. A nuż trafi się coś niepowszedniego? Inaczej nie można sobie tłumaczyć tej powodzi wynalazków, jakiemi zalane są Biura Patentowe wszystkich państw współczesnych.

Bibljoteka naszego polskiego Biura Patentowego przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu dostępna jest dla każdego obywatela. Opis i rysunki każdego wynalazku, któremu Urząd nadał ochronę patentową, mogą być dowolnie przeglądane, przerysowywane i publikowane. Zabroniona jest tylko fabrykacja i eksploatacja wynalazku bez zezwolenia wynalazcy. Skorzystałem z przysługujących mi praw i bibljotece wspomnianej złożyłem pewnego dnia wizytę.

Stanąłem przerażony ogromem zbiorów. Opisy patentowe podzielone są na 89 klas, z których każda posiada od pięciu do dziesięciu działów. Istnieją klasy i o piętnastu działach. Łącznie zatem wynalazki podzielone są na blisko osiemset specjalności. Jak się w tem rozeznać? Jakże wiele ten niespokojny, wynalazczy umysł ludzki wymyśla!

Wezwawszy na pomoc wszystkie dobre bóstwa przypadku rozpocząłem poszukiwania.

I odrazu trafiłem na przykład — nadzwyczajnego dowodu sprytu i pomysłowości. — Okazuje się, że współczesnym wynalazcą, to jest takim wynalazcą, który na swym wynalazku pragnie zarobić „żywą gotówkę", może być niekoniecznie genjusz. Wystarczy mieć dobry pomysł i spryt. Oto zastrzeżenie patentowe otrzymał pomysł — umieszczania reklam na pudełkach od zapałek! Trzeba przyznać, iż pomysł istotnie doskonały. Jakże skuteczną może być reklama na przedmiocie tak istotnie codziennego użytku, który mimowoli ciągle mamy przed oczyma! Niepozbawionym swoistej pikanterji będzie fakt, iż wobec owego zastrzeżenia patentowego, nawet nasz Monopol Zapałczany, gdyby na pudełkach zapałek pragnął reklamować

IXOL LAKIER w PROSZKU
Ręce o paznokciach z pięknym połyskiem to skarb.
zł 1,25
FR. BOGACZ-BYDGOSZCZ, Dworcowa 14
WSZĘDZIE DO NABYCIA!

choćby swoje własne zapałki (n. p. innego gatunku), musiałby za tę reklamę płacić tantjemę wynalazcy pomysłu...

Przerzucenie się do innych działów obrazuje, które dziedziny życia są dziś najbardziej aktualne, gdzie tkwią największe nasze bolączki, gdzie krótko mówiąc spotyka się najliczniejsze wynalazki i ulepszenia. I oto znalazłem następujące ciekawe cyfry: nasz Urząd Patentowy wydał około dwadzieścia patentów na różnego rodzaju składane łóżka, łóżka-tapczany, łóżka-fotele, czy nawet łóżka-szafy i łóżka-stoły. Ośmnaście różnych patentów dotyczy wiecznej ondulacji, a aż dziewiętnaście wynalazków narachowałem z dziedziny otwieraczy puszek z konserwami. Dziewiętnaście wynalazków! Dziewiętnaście patentów na klucze do pudełek sardynek!

Opatentowane wynalazki są tak nieoczekiwane, niespodziewane, że kilkakrotnie czyta się samą nazwę danego przedmiotu. Bo nieodrazu wiadomo o co chodzi. Czytelnikowi mąci się w głowie i dopiero dłuższa chwila zastanowienia przyprowadza opamiętanie. Wymienię kilka takich wynalazków „nieoczekiwanych". A więc: torebka damska, która przy otwarciu gwiżdże! Ma to chronić przed otwarciem torebki przez złodzieja. Dalej: teka na papiery, której jedna ścianka jest gumową poduszką do nadymania, co ma być wielką wygodą w podróży, pugilares na pieniądze, noszony... na pasku, jak ręczny zegarek (!), płetwy, przypinane do rąk i nóg celem ułatwienia pływania, składany kieszonkowy klęcznik, przenośny balkon, który zawiesza się pod oknem na czas mycia okna, przyrząd do rozcinania na dwie części... zapałek, nowoczesny sposób reklamy: tabliczka, która wyskakuje na wysokości oczu w momencie, gdy otwieramy drzwi i zamierzamy wejść do mieszkania. I wreszcie rameczka, rodzaj szablonu malarskiego, ułatwiająca niezbyt wprawnym w malarstwie paniom... malowanie warg pomadką!

Komplecik wynalazków niezgorszy! Przyszło mi na myśl, że wogóle wynaleźć nie sam wynalazek ale dziedzinę, w której dałoby się zrobić taki wynalazek — to już niecodzienna genjalność. Przypomniała mi się też w związku z pierwszym wspomnianym wynalazkiem pewna znana anegdotka o pani, która jechała tramwajem i sto razy na minutę otwierała i zamykała swą damską torebkę. Wyobraźmy sobie taką sympatyczną pasażerkę tramwaju z... torebką, automatycznie gwiżdżącą przy każdem otwarciu. Życie byłoby wcale miłe...

Panowie wynalazcy są jednak zawsze dobrej myśli. Przeczytajmy, co mówią o swym własnym wynalazku trzej ogniści (zapewne) Argentyńczycy, którzy są autorami owej rameczki do malowania warg. (Cytowane z „Opisu patentu"): „Nadawanie ustom harmonijnego kształtu zgodnie z zasadami piękna sprawia niejednokrotnie trudności. Niniejszy wynalazek... ułatwia wykonanie go nawet mniej zręcznym osobom z największą łatwością i dokładnością...".

Cóż, kiedy o wspaniałym wynalazku cicho jakoś na świecie...

Oczywiście wielkiem polem do popisu dla twórczego umysłu jest dział gospodarstwa domowego. Tu spotykamy takie pomysły, jak sporządzenie przyrządu do oddzielania żółtka od białka, jak automatyczna kołyska dla dziecka, do nakręcania, jak automat do wydawania po jednej wykłuwaczce, który w razie wybudowania go zająłby, zdaje się pół stołu, lub wreszcie coś wręcz odmiennego... bezwonne W. C.!

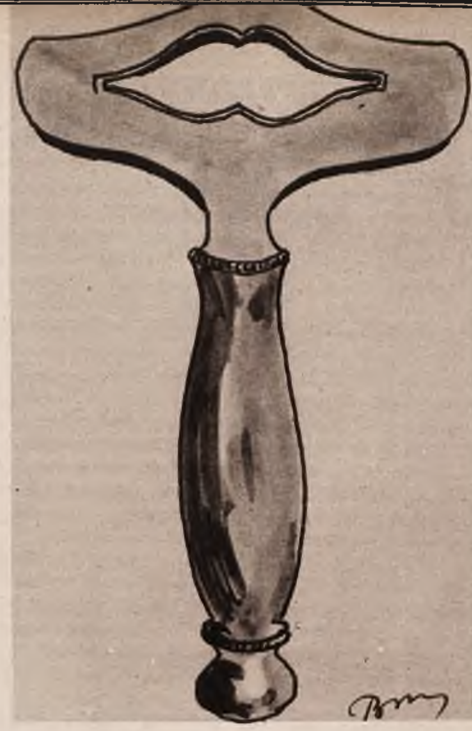
Ciekawem jest również, jak często wielcy wynalazcy, tworząc swoje wiekopomne dzieło, nie zważają na to, iż urzeczywistnienie ich pomysłu pociągnęłoby za sobą wiele innych konsekwencyj, przez nich nie przewidzianych. Widocznie wielki umysł działa tylko w jednym określonym kierunku. Kardynalnym przykładem takiego pomysłu będzie urządzenie do odprowadzania pary z garnków na piecach kuchennych... zpowrotem do paleniska. Wynalazca pragnie uchronić gospodynie od wdychania pary, unoszącej się nad gotującą się zupą. Myśl wcale szlachetna. Jakże ją urzeczywistnia nasz wynalazca? Oto proponuje budowanie garnków z przykrywką, z której wychodziłaby rurka, zakrzywiona w dół, w kierunku paleniska. W palenisku trzebaby zrobić dziurkę i wsadzić w nią ową rurkę i wtedy para będzie wchodzić do ognia. Bardzo pięknie, ale chcąc wykorzystać wynalazek, trzebaby przebudować wszystkie nasze kuchnie, dziurkując je jak sito...

Podobnie ma się sprawa z wynalazkiem łóżka o.... zmiennej szerokości, regulowanej w razie potrzeby. Takie łóżko ma być czemś kapitalnem, pomysłowem, oszczędzającem miejsce w szczupłym nowoczesnym domu. Łóżko, które w razie potrzeby może być węższe, na jedną osobę lub szersze na dwie, nawet trzy osoby. Wynalazca zapomniał jednak o jednem — o tem mianowicie, że łóżko posiada jeszcze... materac. Czy materac też będzie jakiś rozsuwany i zsuwany, czy też w domu trzeba będzie mieć kilka materacy, przystosowanych do różnych szerokości łóżka?

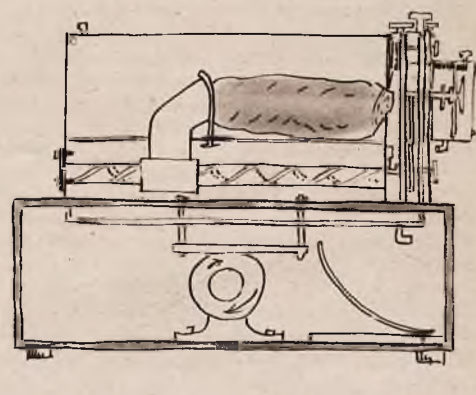
Inny wynalazca z tej samej dziedziny łóżka „oszczędnościowego" proponuje budowę kilku łóżek, wsuwanych jedno w drugie. W razie potrzeby, przyjazdu gości lub tp. łóżka schowane do wewnątrz, wysuwa się, ale... każde następne łóżko będzie przecież mniejsze i krótsze od poprzedniego! Zatem goście, którzy przyjadą, będą musieli mieć bardzo regularny wzrost — każdy następny o osiem centymetrów niższy od poprzedniego. Jak łóżka...

Możnaby tu opisać kilkaset wynalazków, obrazujących przedziwne drogi „kryzysowej" myśli ludzkiej. Nie chcę jednak nużyć Czytelnika, który zapewne... rezygnuje już w tej chwili z karjery wynalazcy, widząc — beznadziejność sytuacji! Opiszę jeszcze tylko trzy wynalazki, które uważam za kurjoza i dlatego zostawiłem je sobie na koniec.

Pierwszy — to krzesło, które jest równocześnie... prasowaczem do spodni! Cierpliwy Czytelniku! Popatrz na załączony rysunek i — uroń łzę nad spodniami, które prasują się w takich warunkach. Szkic ów jest możliwie wierną kopją rysunku, sporządzonego przez samego autora wynalazku. — A z rysunku wynika przecież „jak wół", że prasuje się tylko środkowa część spodni. Pozostała wisi po obu stronach krzesła. — Więc jakże? A tu tymczasem pisze w „Opisie" sam wynalazca: „Mebel taki może być również ogrzewany, celem łatwiejszego prasowania". Nie wiem, czem ogrzewany... Czy może sposobem... naturalnym, przez siedzenie na krześle? Pisze dalej (dosłownie): „Prócz prasowania, możliwem jest wyciąganie spodni w kierunku podłużnym...". To



Rameczka ułatwiające artystyczne malowanie warg (patent nr. 17813).



Przekrój maszyny, która kraje chleb i smaruje masłem (według rysunku pat. nr. 4543).

już jest nadzwyczajne! Wyciąganie spodni w kierunku podłużnym! Więc tak na wyrost... Z ojca na syna i odwrotnie.

Drugi wynalazek: maszyna, która kraje chleb i smaruje go masłem, popędzana korbą lub motorem. „Opis patentowy" mówi: „Maszyna do smarowania chleba masłem znamienna jest tem, że regulowanie smarowania masłem uskutecznia się zapomocą listwy zębatej, przymocowanej nastawialnie (Tak! nastawialnie!) do sanek nożowych, niosących przyrząd nastawniczy, przyczem listwa zębata zazębia się z kółkiem zębatem, przesuwającem popychacz masła przy każdorazowym ruchu sanek na lewo, wskutek czego koło zębate popycha posuwacz masła".

Mówiłem już, że my, „zwykli ludzie" genjuszów nie rozumiemy. Mimo to oddajmy głos twórcy ostatniego wynalazku. Chodzi tu o przyrząd, zabezpieczający serwetki przed upadaniem na ziemię.

„Wynalazek dotyczy sznura do zawieszania serwetek, zapobiegającego spadaniu serwetki pod stół po wysunięciu się jej z dziurki ubrania, w którą była zatknięta, lub też przed zsunięciem się jej z kolan. Charakterystyczną cechą takiego sznura jest to, że na jednym końcu przymocowany jest zacisk do serwet, na drugim urządzenie do zahaczania za dziurkę od kamizelki. Sznur może być zastąpiony przez łańcuszek bez końca".

Dlaczego łańcuszek b e z k o ń c a? Na litość boską, dlaczego??!

Roman Burzyński.



Malowane słońce i białe tło

Odległe, wschodnie krańce azjatyckiego lądu.

Wśród zamieci mknie coraz dalej, na śnieżnych grzbietach reniferów, królowa baśni północnych — zima. Luty wicher wzdął do białości swoje szkliste policzki i dmucha śnieżną kurzawą w ślad za nisko toczącym się słonkiem.

Niebiosa sypią białych płatków siejbę nieprzerwaną. Nieprzeliczone, nieprzebrane ich roje to miękkim kołysaniem siadają na grube warstwy puszystej tkaniny zimowego kobierca, to tłuczone, pędzone zadymką, zaszywają się w gąszcze tajg nieprzebytych.

Życie zamiera, zanika. Wsie całe zasypane, otulone miękkim puchem ułożyły się do cichego snu na długie miesiące. Zaniosło, zawiało, zmieniło świat.

Od siarczystego mrozu trzaskają z hukiem lody zakrzepniętych w biegu rzek i zwierciadła jezior. Powietrze staje się niemal dotykalne. Szklisty dźwięk towarzyszy wszelkiemu zewnętrznemu życiu. Nawet cichym leśnym melodjom wygrywanym przez wiatry na ozdobionych sadzią drzewach.

Surowość lądowego klimatu wleczona zawiejami dotarła do wschodnich wybrzeży, a przy współudziale zimnych prądów morskich obrzuciła je białym pasem lodów, ciągnących na południowy wschód, aż hen, ku daleko wysuniętemu cyplowi Korei.

Nieujarzmione pozostało jedynie morze. O kilka kilometrów oddalenia słychać je jak huczy w przybojach potężnymi, głuchemi grzmotami, to wzmagające się, to słabnące, bijące aż gdzieś pod niebiosa kruchliwym grzechotem kry.

Morze Japońskie!

Za niem kraina wyspiarzy.

Kraina kwiecia, przedziwnych ogrodów, kraina wschodzącego słońca. O łagodnym klimacie — Japonja!

Patrzyłem przed siebie w dal, poza pole rozkołysanych kruszonych tafli lodowych w błękitne morze.

Tam po raz trzeci wychodził od rana i wracał, teraz wiodąc za sobą dwa wielkie krążowniki, tutejszy łamacz lodów. Torował drogę. Majestatycznie, powoli wpływały wypierając masy lodowe, które się tuż za nimi schodziły, zamykały, krzepły. Na rufie każdego z nich powiewała szeroko rozwinięta japońska bandera wojenna — słońce okolone szesnastu promieniami, na białem tle czerwone.

Nieokreślone uczucie powagi chwili, czy podziwu dla potęgi wyspiarskiego kraju, czy zachwytu, dla niecodziennego widoku na tle pięknych gór i mlecznie zakrzepłej zatoki, opanowało widza.

A krążowniki zarzuciwszy pomosty wysnuły z siebie dwa długie, wężowo-zygzakowate szeregi drobnokształtnych żołnierzy. Pięli się pod górę spokojnie, niespiesznie. Wchłaniało ich w swoje zaułki senne miasto surowego kontynetnu.

Idzie za nimi wielkość ich narodu, a nikt ich honorami salw nie wita. — A ziemia na której stanęli odgadując snać ich siłę, nieprzychylne okazuje im oblicze.

Rozległe i puste królestwo zimy, na którego zagubionych drogach zrzadka zadźwięczy nikły głos dzwoneczków dążącej karawany kilku sań i melodyjne skrzypienie płozów w takt chrupkiego uderzania kopyt końskich, którego zawianych dróg ślady znaczy jedynie biały oddech zwierząt; bogate, usiane pokładami skarbów wewnątrz i nazewnątrz, przezornie strzeże swych okutych lodami tajemnic, zazdrośnie broni dostępu obcemu przybyszowi.

A przybysz, niebezpieczny przybysz z za huczącego groźnie morza coraz jaskrawiej zakreśla swoje okrągłe godło nad zaśnieżonym lądem.

Japonja, której promienie malowanego znaku padły na sąsiednią ziemię, zostawia na niej trwały ślad, emanuje z siebie bowiem mądrość swej starej kultury.

Japonia — korzeń słońca — zapuściła ciche, gęste odnogi w twarde podłoże białego lądu, dynamiką swego ludu.

Dwóch młodych oficerów z białymi opaskami na rękawie, z opaskami o czerwonym krążku po środku wyobrażającym państwowe godło Japonji, zbliżyło się do mnie z uprzejmym ukłonem wszczynając rozmowę.

— Nie ruskij! — zapytują w języku rosyjskim, dotykając lekko mej piersi.

— Nie...

— Deutscher? —

— Nie...

— Polak, Warszawa... Wiedzą — są tem uradowani.

Rozmowa dalej toczy się po niemiecku, gdyż o to proszą moi nowi znajomi. Mają aparat i pod cokołem pomnika na bulwarze nabrzeża proszą o zdjęcie się z nimi. Poznali obcego...

Tam w dole, za barjerą dymią leniwie ich krążowniki.

Gościna w ich domu przeciąga się do wieczora.

Mali ludzie są nadzwyczaj ciekawi — chcą wiedzieć wiele, jak dzieci.

Japonia musi czuwać nad ruchem na Wschodzie. Japonji potrzebna była i moja fotografia. Zdobyto ją w uprzejmy, towarzyski sposób.

Podziwiają oni, że kraj tutejszy tak rozległy jest pusty na północy, uśpiony przemożnemi siłami przyrody, na południu zaś oplątany baśniami religii, zakrzepły w swej kulturze od tysiącleci, o zahamowanym rozwoju gospodarczym, pozbawiony własnej woli przez potężne wpływy eksploatatorów. Podobają im się białe kobiety, i to że nie ma trzęsień ziemi. A surowość klimatu lekceważą, potrafią się przeciw niemu zabezpieczyć.

Tęgi mróz wyiskrzył niebo, gdy przebiegałem powrotną drogę.

Kroki skrzypliwym echem rozlegały się po pustem nabrzeżu, wicher przenikał do głębi.

Wtulony w ciepły kołnierz wracałem myślą do ciepłej izby Japończyków i snułem refleksje...

Tak! Ten biały kraj nie będzie zdolen wydrzeć z siebie owego korzenia słońca, który wrasta mu w jego wnętrza.

Skośnoocy wyspiarze wierzą, że są potomkami bogów, a jako Azjaci mniemają, iż władanie Azją do nich należeć powinno.

Mądry spokój z jakim idą, ułatwia im torowanie sobie drogi zdobywców. Kraj chryzantemy nie posyła dzieci swoich na zgubę. Wchodzi w obcy teren stopa za stopą, powolnie, z przebiegłością, uporem i poświęcenem. Liczne, połyskliwe lufy karabinów wzmacniających garnizony, to ochrona interesów i obywatela, który przenika wszelkimi niegłośnymi drogami, napływa jako kupiec, robotnik, osadnik.

Zorganizowana opieka zaplecza widoczna jest nawet w drobiazgach.

Oto długie, zielone szeregi przywiezionych dziś żołnierzy wyglądają, jakby przybyły z boju. Każdy z nich przeszedł na ląd przez drzwi ambulansu krążownika i ręce sprawnych sanitarjuszów. Każdy z nich na swojej płaskiej twarzy, na niewielkim, a jeszcze mocniej spłaszczonym nosie ma przewiązaną czworokątną łatkę z bandaża.

Japonja nie pozwoli, by kwiat jej młodzieży miał zniszczeć bez pożytku. Lekarze japońscy czuwają nad armją, wnikającą stale w luty kraj. Będzie z niej po asymilacji wartościowy materjał kolonizacyjny. Rosnąca groźba dla Europy. **Bogumił Boniecki.**

NA „DNI KRAKOWA"...

Rozpoczynające się dnia 28 maja „Dni Krakowa" będą niewątpliwie jak zeszłego roku, rewją najwspanialszych widowisk artystycznych, podziwianych przez tłumnie zjeżdżających do Krakowa turystów zarówno z całej Polski, jak i zagranicy.

Komitet Obywatelski, organizujący „Dni Krakowa", zdając sobie w pełni sprawę z reprezentacyjnej roli, do jakiej powołany jest Kraków, będący sceną całej Polski, stara się o program o charakterze ogólnopolskim, z udziałem czynników artystycznych całego kraju. Znalazły się w nim trzy wielkie koncerty symfoniczne, na których wystąpi wielka orkiestra symfoniczna Polskiego Radja pod batutą Grzegorza Fitelberga. Jeden z wieczorów poświęcony będzie w całości twórczości Karola Szymanowskiego. „Dzień Pieśni Polskiej", na który zjadą wszystkie zorganizowane chóry z województwa krakowskiego i śląskiego, zakończy monstre-koncert z udziałem 2000 śpiewaków. Pod dyrekcją prof. Frycza, dyrektora teatru im. Słowackiego, przygotowuje się wielkie widowisko H. Morstina p. t. „Kopernik". Osobną pozycję w programie zajmuje pokaz p. t. „Lud polski w muzyce, tańcu i śpiewie", który umożliwi występ szeregu teatrów regjonalnych. Pokaz połączony będzie równocześnie z konkursem tańców ludowych.

Przygotowywane wystawy: Grottgerowska, oraz śp. Leona Wyczółkowskiego, jak i inne zgromadzą prace tych artystów w jaknajszerszym zakresie, a więc także i z całego terenu pozakrakowskiego.

„Dni Krakowa" dostarczą też wielu okazyj światu sportowemu do zorganizowania niezwykle ciekawych imprez. Zapowiedziane są przedewszystkiem uroczystości jubileuszowe jednego z najstarszych i najbardziej zasłużonych klubów, jakim jest Cracovia, która obchodzi w tym roku 30-lecie swego istnienia. Wielkie zainteresowanie wzbudza też spotkanie w piłce nożnej Kraków—Berlin, oraz liczne zawody w innych gałęziach sportu.

Propaganda, jaką przeprowadza Komitet Obywatelski „Dni Krakowa" zagranicą, sprowadzi niewątpliwie licznych turystów, którzy przyjazd do Krakowa będą mieli ułatwiony przez znaczne ulgi (zniżki kolejowe, bezpłatne wizy), a którzy ponadto będą mogli skorzystać z czterech ulgowych przejazdów po Polsce w dowolnych kierunkach. Także i dla krajowych turystów przewidziane są wielkie ułatwienia komunikacyjne.

WIEŻYCE KOŚCIOŁA NAJŚW. PANNY MARJI
Fot. St. Kolowiec — Kraków.

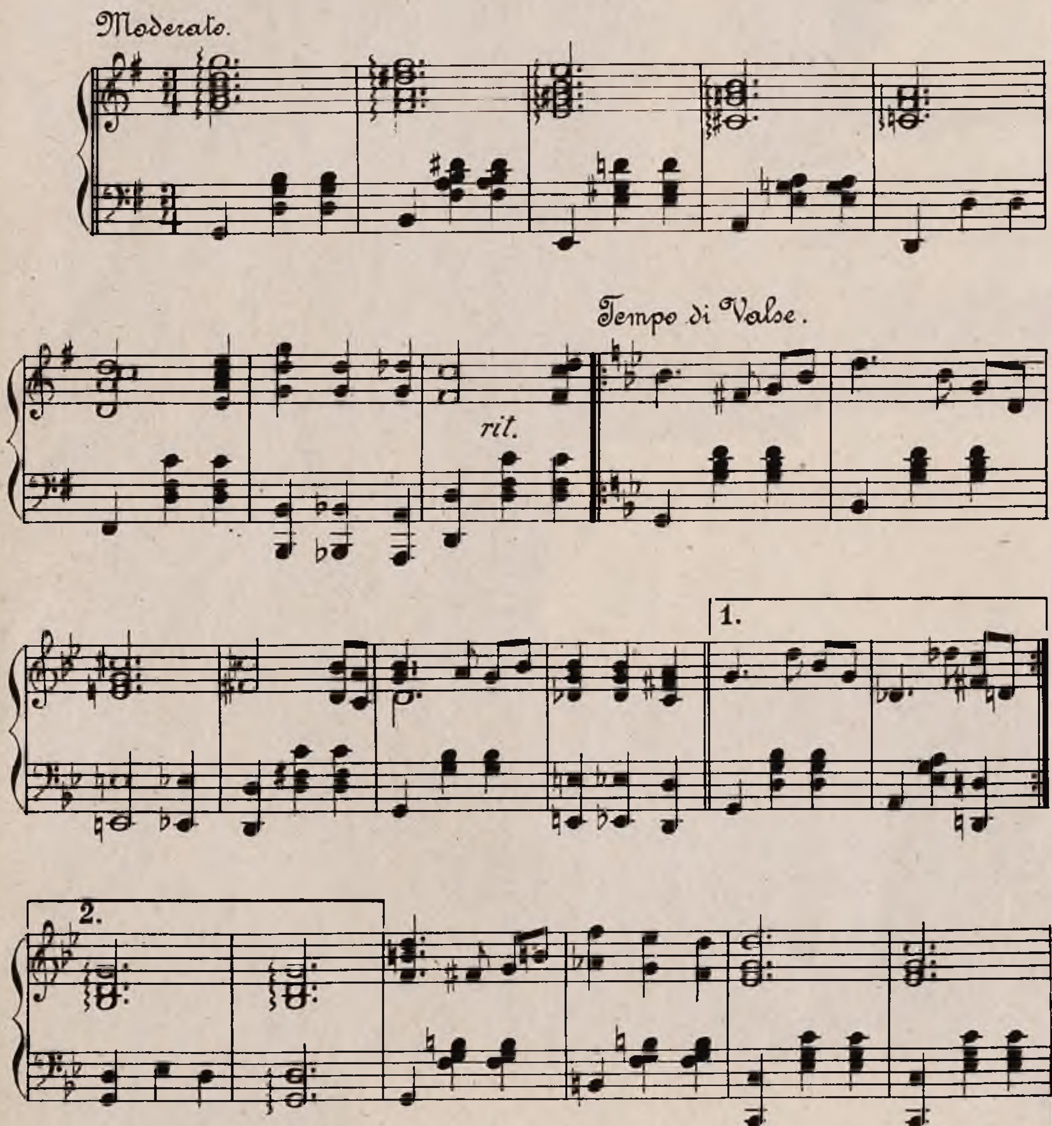


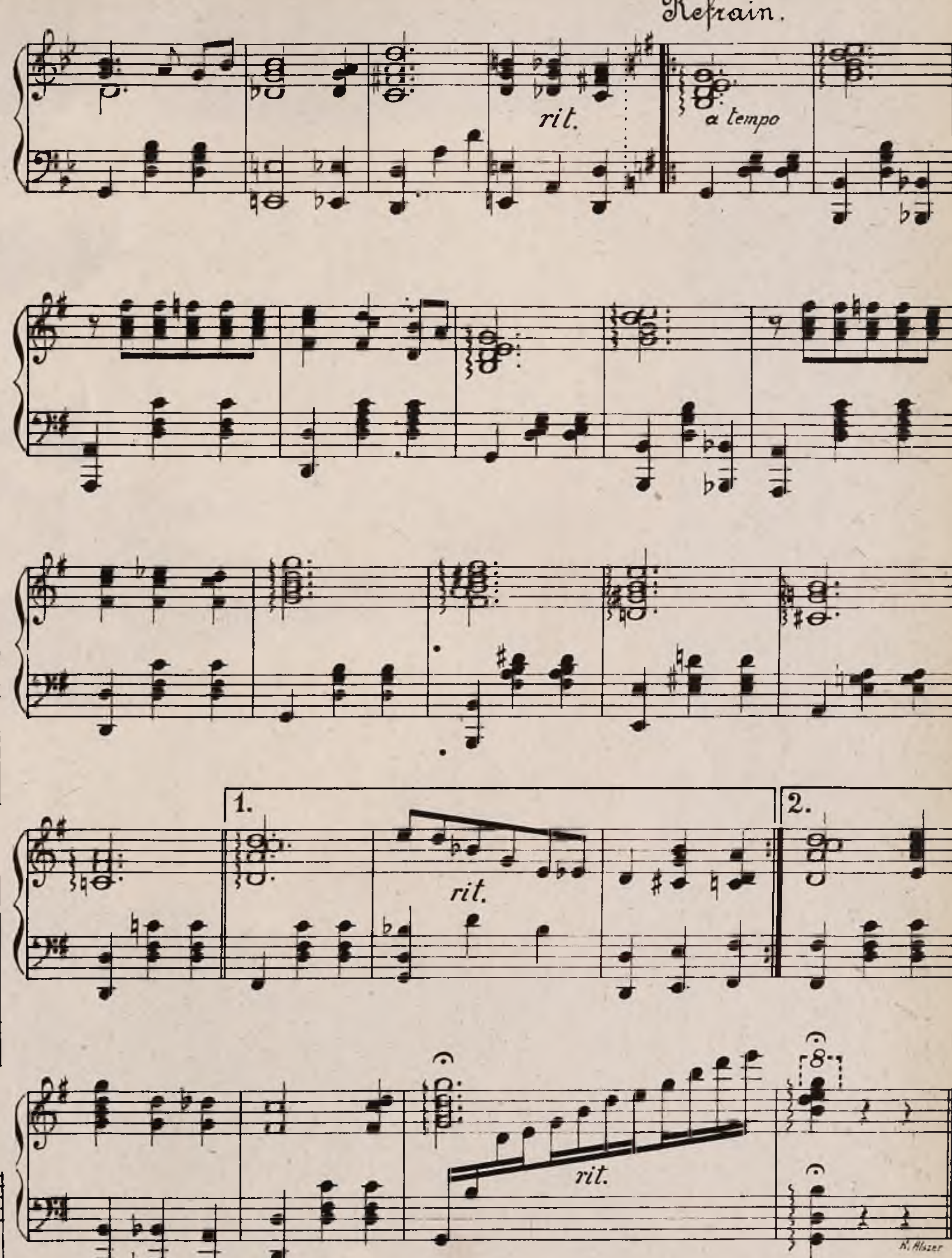
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

GDY MIŁOŚĆ SIĘ BUDZI...

WALC ANGIELSKI

TADEUSZ WASILEWSKI





WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

HIPNOZA I MIŁOŚĆ

TADEUSZ JUNOSZA-OLSZAKOWSKI ● N • O • W • E • L • A

— Opowiem ci zdarzenie, które wywarło decydujący wpływ na moje życie. Niejednokrotnie pytałeś się, dlaczego jestem poważny i smutny, dlaczego nie uśmiecham się nigdy i unikam wszelkiej wesołości i zabaw. Nie jest to poza i nie jest stan mój naturalny. Dawniej nie gardziłem dowcipną anegdotą i śmiałem się beztrosko; świat bowiem wydawał mi się cudny, życie ciekawe, a ludzie mili i życzliwi. Byłem młody, miałem duże zdolności i majątek, który pozwalał mi nie brać udziału w twardej walce o byt, lecz przyglądać się w charakterze obserwatora zmaganiom ludzi między sobą. Ta właśnie obserwacja życia pobudziła mnie do rozmyślań filozoficznych, które zkolei domagały się przeprowadzenia eksperymentów, celem stwierdzenia słuszności moich spostrzeżeń i wniosków.

Kiedy człowiek zaczyna myśleć, czuje się nieszczęśliwym — powiedział jakiś mędrzec starożytny. Słuszność tego paradoksu znalazła pełne uzasadnienie w mojem życiu. Natura obdarzyła mnie wielką siłą sugestywną, którą dość łatwo umiałem skierowywać na ludzi, pozbawiając ich woli i świadomości. Fakt ten wzbudzał we mnie pasję uczonego. Posiadając dyplom doktora medycyny, miałem wstęp wolny do różnych szpitali i lecznic. Doświadczenia, dokonywane na chorych i, ma się rozumieć, za ich zgodą, oderwały mnie od życia towarzyskiego. Początkowo wyzyskiwałem swą siłę hipnotyczną w kierunku uśmierzania bólów, a potem jąłem się leczenia różnych chorób. Rezultaty przechodziły moje najśmielsze oczekiwania i powoli zdobywałem rozgłos lekarskiego maga, który dotknięciem ręki uzdrawia ludzi. Nawał pracy rósł, doświadczenia następowały po doświadczeniach i często nie mogłem wyspać się należycie, chcąc podołać wszystkiemu. Taki stan rzeczy łącznie z codziennym ubytkiem siły psychicznej doprowadził organizm mój do zupełnego wyczerpania. Z żalem musiałem przerwać swe arcyciekawe badania i wyjechać w góry na wypoczynek.

Mniej więcej w połowie kuracji zatęskniłem za gwarem miejskim, co było dobrą oznaką powracającego zdrowia i pojechałem w porze poobiedniej do Wiednia. Wstąpiłem do kina. Grali jakąś szmirę dramatyczną, toteż rychło znudzony opuściłem widownię i zasiadłem w kawiarni, znajdującej się na przeciwległym rogu ulicy.

Przeznaczenie sprawiło, iż zająłem stolik nieopodal orkiestry, w której grał młody, jasnowłosy skrzypek. Twarz jego zwróciła moją uwagę. Malowało się na niej zalęknienie i trema. Grał nieźle, lecz przy wykonywaniu trudniejszych pasaży i akordów palce odmawiały mu posłuszeństwa i skrzypce wydawały wówczas przykre, piskliwe tony. W takich chwilach niektórzy z gości oglądali się z pewną niecierpliwością na orkiestrę, a szef zakładu marszczył gniewnie brwi i spoglądał ponuro na muzyka.

Nie wiem, dlaczego wzbudziła się we mnie chęć dopomożenia nieszczęśliwemu skrzypkowi. Zasłaniając dyskretnie twarz gazetą, całą siłą woli zapragnąłem, ażeby młody człowiek grał spokojnie i prawidłowo.

Upłynęło kilka minut. Do uszu moich doszła melodja, wykonana czysto i bez zarzutu.

Podczas przerwy twarz skrzypka wyrażała radosne niedowierzanie. Rozglądał się wokoło po sali poczciwym, uśmiechniętym wzrokiem i poczerwieniał nawet z radości, skoro mu szef kawiarni skinął leciutko głową w niemej pochwale.

Następną melodją był walc. Płynne tony rozlewały się czysto i donośnie po sali.

Mózg mój pracował. Przez cały czas trwania muzyki byłem myślą przy skrzypku, wmawiając weń spokój, pewność i lekkie upojenie odtwórcze.

Po odegranej melodji kilkanaście braw rozległo się przy stolikach. Szef był wyraźnie zadowolony. Ja również.

Wyraz twarzy jasnowłosego chłopca dowiódł mi, iż całkowicie podlegał mojej władzy. Oczy miał lekko przymknięte, czoło blade i pokryte drobnemi kropelkami potu, policzki zaróżowione. Nieświadomie zwracał się w moją stronę, jakby oczekując dalszych nakazów psychicznych.

A wówczas złośliwy chochlik podsunął mi myśl wypróbowania pełni władzy nad tym chłopcem.

Orkiestra zaczęła grać. Skrzypek ujął swój instrument, a ja zapragnąłem, ażeby pomylił się i zagrał fałszywie.

W tej chwili dzikie, niesamowite dźwięki rozdarły nagle powietrze. Wszyscy drgnęli i z przestrachem spojrzeli na orkiestrę.

Blady, jasnowłosy chłopiec, blady jak trup, ciągnął automatycznie smyczkiem po strunach, grając jak dziadek podwórzowy, którego wykoszlawione reumatyzmem palce nie mogą opanować instrumentu.

Serce biło mi triumfująco, że oto napięciem swojej woli zapanowałem całkowicie nad muzykiem. Po chwili jednak żal mi się zrobiło chłopca, który po niefortunnym występie siadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

Szef kawiarni zbliżył się do niego i coś szepnął mu do ucha. Ramiona chłopca drgnęły, a kiedy odjął ręce od twarzy, w oczach jego błyszczały łzy.

Kilka osób z pośród gości wstało i przeniosło się na werandę, widząc, że skrzypek znowu sięga po instrument i będzie męczył ich uszy nieumiejętną grą.

Ja byłem spokojny. Wiedziałem, że teraz dobrze zagra, ponieważ myślą stanąłem przy nim i starałem się wzbudzić w nim upojenie.

Orkiestra poprzedziła tango melodyjnym wstępem, poczem jasnowłosy skrzypek ujął powoli instrument i nie spuszczając ze mnie pałających i zaczerwienionych płaczem oczu, dotknął smyczkiem strun. Czarowne dźwięki hiszpańskiego tanga zabrzmiały kaskadą perłowych tonów, z których każdy był po mistrzowsku wydobyty z instrumentu. Miłość, tęsknota i rozpacz dźwiękami skrzypiec obudzone w sercach słuchaczy, wyzwoliły w każdym echa odległych wspomnień. Przestano rozmawiać i jeść. Wiele osób zastygło w nieruchomej pozie. Ci, co wyszli na werandę, wrócili cicho na palcach i zatrzymali się przy drzwiach.

Wreszcie orkiestra umilkła, a z nią czarowne skrzypce jasnowłosego muzyka. Rozległy się ogłuszające brawa. Jakaś pani rzuciła bukiecik fiołków w stronę podjum orkiestry. Szef kawiarni promieniał zadowoleniem.

Przyznam się, iż poniekąd sam byłem zaskoczony rezultatem swego doświadczenia. Bezwzględnie chłopiec należał do typów przewrażliwionych, o niezmiernie podatnym na wpływ cudzej woli systemie nerwów. Patrząc na jego bladą, prawie dziewczęcą twarz, delikatne, wąskie ręce, wysoką i szczupłą postać odrazu można było odgadnąć, iż stanowi pierwszorzędny materjał na medjum.

W tej chwili błysnęła mi w mózgu pewna myśl, którą postanowiłem zrealizować natychmiast.

Skinąwszy na szefa kawiarni, wręczyłem mu dziesięć szyllingów i oznajmiłem, że zabieram dzisiaj jasnowłosego skrzypka ze sobą, a zatem proszę o przyprowadzenie go do stolika.

Życzeniu memu stało się zadość. Z pewną nieśmiałością młody chłopiec, zasiadłszy naprzeciw mnie, czekał na pytania z lękliwym, napół smutnym uśmiechem na ustach.

— Jak się pan nazywa? — zacząłem indagację.

— Eryk Weber! — usłyszałem cichym głosem wyrzeczoną odpowiedź.

— Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia trzy.

— Gdzie pan się uczył grać na skrzypcach?

— W państwowem konserwatorjum. Zeszłego roku zdobyłem dyplom.

— I cóż dalej?

Nieokreślony ruch ręką i smutne kiwnięcie głową.

— Powiększyłem grono bezrobotnych muzyków.

— Posiada pan jakiś majątek?

— O, nie! Niegdyś, przed wojną, rodzice moi byl bogaci. A teraz...

— Czy rodzice jeszcze żyją?

— Matka umarła dwa lata temu. Ojciec żyje, lecz jest sparaliżowany skutkiem zatrucia gazami na wojnie.

— Ma pan rodzeństwo?

— Jestem jedynakiem.

— Ojciec zapewne utrzymuje się z renty inwalidzkiej?

Gorzki uśmiech.

— Jeżeli wogóle można życie nasze nazwać utrzymaniem; Pobiera zaledwie ośm szyllingów miesięcznie!

— A pan?

— Ja?... Czasem zarobię, czasem nie! To już czwarta kawiarnia, w której gram!

— Dlaczego pan zmienia tak często posady?

— To nie ja zmieniam!

— Rozumiem! Szefowie nie są zadowoleni z pańskiej gry!

— Tak! Mówią, że gram... słabo. Że często się mylę. Widzi pan... mnie przeszkadza trema! Tracę takt, nie mogę rozwinąć techniki, krew uderza mi do głowy i sam nie słyszę, co gram. Czasami jednak stan taki udaje mi się przezwyciężyć, chociaż... rzadko to bywa! Bardzo rzadko!

— Kto był pańskim nauczycielem muzyki?

Weber wymienił mi nazwisko jednego ze znakomitych wiedeńskich profesorów. Spojrzałem na zegarek. Była godzina ósma.

Przeprosiwszy na chwilę skrzypka, udałem się do budki telefonicznej i wyszukałem w księdze numerów telefon profesora. W parę sekund później prowadziłem z nim rozmowę, przedstawiwszy się jako impresarjo muzyczny.

— Jak pan profesor zapatruje się na przyszłość pańskiego ucznia, Eryka Webera? Czy to jest duży talent?

— Raczej talencik! — posłyszałem odpowiedź — pracowity, biedny i nieszczęśliwy. To ostatnie dlatego, że ogarnia go pewien chorobliwy niepokój, kiedy ma przystąpić do wykonania utworu. Artyści nazywają to tremą. Przy dużych zdolnościach trema przemija szybko, Weber zaś męczy się do końca utworu, nie mogąc rozpłomienić siebie odtwórczą pracą.

— A zatem wskazane jest leczenie?

— Bezwątpienia; na poziom muzyki jednak to nie wpłynie, zdolności bowiem Webera są dosyć mierne!

— Dziękuję panu!

Powiesiłem słuchawkę, zadowolony opinją profesora. Gdyby było inaczej, kto wie, czy wogóle przystąpiłbym do eksperymentu. Kiedy wróciłem na salę, Weber siedział potulnie przy stoliku w pozie, w jakiej go zostawiłem.

Przystąpiłem odrazu do rzeczy.

— Pan chce mieć pieniądze, duże pieniądze!

— Nie rozumiem! — bąknął zmieszany do najwyższego stopnia.

— Pieniądze i sławę! Światowy rozgłos! Występy na estradach europejskich! Koncerty w prywatnych apartamentach królów i książąt! Uwielbienie tłumów! Zachwyt prasy całego świata! Miłość najpiękniejszych kobiet, oczarowanych pańską muzyką!

Spojrzał na mnie jak na warjata.

— Co pan mówi?! — wykrzyknął.

— To, co pan słyszy! — odparłem — jestem impresarjem międzynarodowym, który po zawarciu z panem kontraktu roztoczy nad panem opiekę! Zgoda?

— A... moja trema?

— Wyleczę z niej pana! Zresztą możemy zrobić próbę. Niech pan zagra na pożegnanie czardasza węgierskiego. Utwór ten z pewnością należy do stałego repertuaru orkiestry. A potem podziękuj pan szefowi za posadę, bo tutaj już nie wrócimy!

Weber wstał, potem usiadł, znowu zerwał się na nogi i, mieniąc się na twarzy, wyjąkał zdławionym głosem:

— Ja... ja słabo gram! Ja... napewno się omylę!

— Nie omyli się pan! Proszę tylko patrzeć w moją stronę! A kontrakt spiszemy jutro rano! Tymczasem proszę przyjąć ode mnie pięćset szyllingów jako zaliczkę!

Jasnowłosy skrzypek potoczył błędnie oczyma po sali i słaniającym się krokiem wszedł na podjum orkiestry.

— Czardasza! — zawołałem głośno.

Pianista skinął usłużnie głową i rozdał nuty członkom orkiestry.

Niezwykle melodyjny i piękny czardasz wzbudził taki entuzjazm wśród publiczności, jaki spotyka się tylko w operze na występach sław śpiewaczych. Weber był bliski płaczu ze szczęścia i wciąż spoglądał w niemem zdumieniu na swoje ręce i skrzypce, jakby nie wierząc temu, iż to on zagrał i oczarował wszystkich. Wreszcie podbiegł ku mnie i szybko dotknął ustami mej ręki, nie zwracając uwagi, iż wiele osób patrzało na tę scenę.

Przyznam się, że i ja byłem cośkolwiek wzruszony...

— — — — — — — — —

W trzy tygodnie później sława Webera wybuchła niczem meteor ognisty przy zderzeniu się z ziemią. Najtrudniejsze koncerty wykonywał z przedziwną łatwością i czarem prawdziwego natchnienia. Estrady, na których występował, zasypywane były kwiatami. Prasa nazywała go nowym Paganinim. Wiedeń, Paryż, Londyn, Bruksela, Hamburg, Berlin, Warszawa i wiele innych stolic szalało za Weberem. Sale koncertowe licytowały się nawzajem przy pozyskaniu kontraktu, a wielkie wytwórnie płyt gramofonowych płaciły Weberowi za nagranie jednej płyty dziesięć tysięcy dolarów! Wreszcie filmowcy z Hollywood obiecywali krocie tysięcy dolarów za udział Webera w filmach dźwiękowych.

Cały czas byliśmy w podróży. Noce spędzało się poprostu w wagonie sypialnym, ponieważ niesposób było odmówić tysiącom propozycyj. Weber stał się odrazu bogatym człowiekiem, pomimo, iż oddawał mi połowę swoich zarobków, aczkolwiek umowa między nami opiewała na dwadzieścia procent.

Kiedy byliśmy w Japonji, na dworze mikada, Weber, po skończonym koncercie, otrzymał sensacyjną depeszę, iż sparaliżowany jego ojciec, słuchając muzyki syna przez radjo, nagle wyzdrowiał. Fakt ten gazety opisały z najdrobniejszemi szczegółami, z niejednego oka wyciskając łzę roztkliwienia.

Weber szalał z radości i szczęścia. W stosunku do mnie zachowywał się jak pacjent, któremu lekarz uratował życie. Ślepo posłuszny we wszystkiem, wodził za mną oczyma, gotów na każde zkinienie. Podczas koncertów zawsze był zwrócony twarzą ku mnie, jakby czując mój dobroczynny wpływ. Naturalnie nie odsłoniłem przed nim swej tajemnicy, fakt ten bowiem mógł pociągnąć za sobą nieobliczalne konsekwencje.

Przez rok jeździliśmy w ten sposób po świecie i wszędzie Weber budził grą swoją niesłychany entuzjazm. Taki stan rzeczy nie mógł jednak trwać wiecznie i, przyznam się, byłem porządnie znudzony i wyczerpany. Ustawiczne naprężenie nerwów i myśli, przelewanie siły hipnotycznej na wirtuoza, sprawiło, iż począłem myśleć o wypoczynku, a przedewszystkiem o zakończeniu tej koncertowej eskapady. Cel swój osiągnąłem, eksperyment się udał i nie miałem już więcej nic do zdziałania. Z drugiej strony żal mi było jasnowłosego skrzypka, wiedziałem bowiem, iż po mojem odejściu czar pryśnie, powodzenie się załamie i „bożyszcze tłumów", „król skrzypków" powędruje zpowrotem do kawiarni, kończąc w ten sposób swoją karjerę.

Zanim powziąłem ostateczną decyzję i przezwyciężyłem skrupuły sumienia, na naszej drodze stanęła miłość. Zakochaliśmy się obaj w jednej kobiecie. Była nią przygodna akompanjatorka, którą poznaliśmy na prywatnym koncercie w apartamentach prezydenta Francji. Weber miał wówczas dwadzieścia cztery lata, ja — trzydzieści dziewięć. Byłem więc w tym wieku, kiedy miłość taka może być ostatnią.

Po stwierdzeniu, że obaj kochamy się w jednej, stosunki między nami ochłódły. Weber kochał ją jak artysta. Gotów był cały świat rzucić jej do nóg i modlić się codzień przy ołtarzu miłości, który zbudował jej w swem sercu. Dzień spędzał jakby w upojeniu, grał dla niej, improwizował i podbijał tłumy. Ja snułem się za nim jak cień, czując, że niełatwo dam się zwyciężyć, że nie cofnę się nawet — przed zbrodnią!

Narazie trudno było odgadnąć, kogo z nas piękna Angielka obdarza żywszą sympatją. Jednakowe były jej uśmiechy, jednakowe spojrzenia, a jednak nie mogliśmy się zdobyć na postawienie pytania, rozstrzygającego naszą męczącą sytuację. Weber szalał i w szaleństwie swem doszukiwał się pomyślnego dla siebie rozwiązania. Ja drżałem z obawy, że przejdę obok mej miłości niezauważony i niepoznany i resztę życia spędze w samotności.

Po upływie pewnego czasu postanowiłem rozmówić się z Weberem i odkryć mu całą prawdę.

Wysłuchał ją w milczeniu, poczem rzekł:

— Domyślałem się tego oddawna! Pańska obecność wpływała na mnie tak potężnie, że nie mogłem tego nie zauważyć! Zawdzięczam panu majątek i sławę! Pomimo tego nie mogę wyrzec się swojej miłości!

Ująłem go za rękę.

— Chłopcze drogi! Jesteś młody i wiele jeszcze kobiet będziesz kochał w swem życiu! Uczucie twoje można nazwać zaledwie pierwszą miłością. Moje życie się kończy! Czuję, że kocham po raz ostatni!

Podniósł na mnie zbolałe oczy.

— Pańskie słowa sprawiają mi ból niewymowny! — wyjąkał — nie chciałbym panu sprawić zawodu, a z drugiej strony mam pewność, że nie przeżyłbym rozstania! Panie drogi! Oddam wszystko, co mam! Pół miljona dolarów zarobionych grą moją na skrzypcach i gotów jestem ogłosić w prasie, w jaki sposób stałem się sławnym! Wtedy ludzie zaczną mówić o panu jako o znakomitym uczonym, który przeprowadził cudowny ekperyment. O mnie zapomną no i.. grać nie potrafię bez pana! Czuję jednak, że będę szczęśliwym, kiedy z nią się ożenię!

Poruszony głębią ofiary Webera zaniemówiłem na chwilę i coś w rodzaju wstydu oblało policzki moje krwawym rumieńcem.

— Nie, chłopcze! Tej propozycji przyjąć nie mogę! Jestem uczciwym człowiekiem i... Zresztą, poco sprzeczać się na ten temat? Sytuacja jest prosta: pójdziemy do niej i zapytamy się, kogo z nas obdarza żywszem uczuciem! To jedno mogę dla ciebie zrobić! Chcesz?

Weber spojrzał na mnie z męką w oczach.

— To niepotrzebne! — szepnął — od wczoraj jesteśmy po słowie!

Stałem jak sparaliżowany. Ostatnia miłość w mojem życiu! Ostatnia!

Prawie z nienawiścią spojrzawszy na swego pupila, wyszedłem.

Tego dnia wieczorem z upiornego bezwładu myśli wyrwało mnie nagle nieśmiałe pukanie do drzwi.

— Proszę! — rzuciłem obojętnie.

Przede mną stanął... Weber. Twarz miał bladą, usta drżące. W oczach czaił się lęk.

Przyszedłem prosić pana... na koncert. Ostatni raz! Więcej już grać nie będę! — rzekł głucho.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, o co mu chodzi! Acha! Prawda! Dziś ma się odbyć koncert w filharmonji paryskiej. Jest już zapłacony. Ma być sporo gości zagranicznych, a nawet królowa belgijska. Z nią naturalnie przedstawiciele rodów arystokratycznych, dyplomacja, członkowie gabinetu francuskiego, prasa światowa i t. d.

Postanowiłem odmówić i natychmiast wyjechać z Paryża. Niech sobie Weber daje radę beze mnie! Zobaczymy, co z tego wyniknie!

Tymczasem Weber, widząc moje wahanie, dodał zalęknionym szeptem:

— Błagam pana! Ostatni raz! Ona będzie na koncercie! Ten koncert poświęcam dla niej!

W tej chwili błysnął mi w mózgu piekielny pomysł. Kto wie? Może w ten sposób zdobędę miłość, a z nią szczęście na resztę życia. Wszak ośmieszony Weber straci dla niej powab jako artysta, a może i... jako człowiek!

— Przyjdę! — rzekłem krótko i z pewnego rodzaju złośliwością patrzałem, jak uradowany pomknął w lekkich susach ku drzwiom.

Punktualnie o wpół do dziewiątej znalazłem się na sali koncertowej. Było pełno. Atmosfera naładowana była sensacją, jaką zazwyczaj wzbudzał każdy występ Webera. Panowie we frakach i smokingach, panie w balowych toaletach. W głównej loży królowa belgijska w otoczeniu dostojników francuskich.

W pierwszym rzędzie krzeseł siedziała nasza miłość. Los zdarzył, iż byłem jej sąsiadem. Po przywitaniu zająłem miejsce i poczułem, że dzieje się ze mną coś niesamowitego. Miłość, żal, rozpacz, nienawiść i pragnienie zemsty falą głębokich wzruszeń targnęły mojem sercem.

Nadludzkim wysiłkiem woli zapanowawszy nad sobą, zwróciłem się do swej sąsiadki:

— Weber będzie miał dzisiaj powodzenie!

— O tak! — odparła gorąco — to cudowny człowiek i artysta! Zasługuje ze wszech miar na uwielbienie, jakiem się cieszy!

Zagryzłem wargi z tłumionej wściekłości i rzekłem drwiąco:

— Pani w niego wierzy?

Spojrzała na mnie zdumiona.

— Co pan mówi? Nie rozumiem!

Powtórzyłem pytanie.

Młoda kobieta poruszyła lekko głową.

— Nie spodziewałam się ze strony pańskiej podobnego pytania! Przecież pan wprowadził go na estrady europejskie! Pan jest

Ciąg dalszy na str. 26-ej.



ŚWIĘTO COWBOY'A



Kiedy przeciętnego Amerykanina, Babbita, zjadacza normalnej dziennej porcji sandwiczów, quaker oats'ów, roastbeefu, lodów, porridge'u, posłusznego konsumenta piwa, lemoniady i whisky, jakoteż wiadomości z „Daily Heraldu" czy „Chicago Tribune", Radio City Broadcasting ogłuszy potokiem hałaśliwych reklam, koncertów i hotjazzu, a magiczne pałace oślepionego najnowszemi dramatami zcroekranu wyplują na asfalt ulicy, kiedy miasto przemiele ko w swym kołowrocie dziennym giełdy, sklepów, biur, fabryk, otumani szarlatańswem reklam, dreszczem ringów bokserskich i boisk baseballu, zblazuje szaleństwem rewij, dancingów i lunaparków, kiedy Babbit jest przeżuty przez nowe życie, wtedy patrzy z tęsknotą na Zachód.

Wild West to kraina preryj i „plains", gdzie na, której horyzontu nie znaczą kleksy kominów ani słupów przewodów wysokiego napięcia, obłoków nie brudzi dym kominów fabrycznych, falistych łąk nie przecina sieć dróg makadamizowanych, w szpalerach reklam, gdzie nie warkoczą traktory, gdzie czystych wód bez tłustych plam ścieków fabrycznych nie piętrzą tamy zakładów o sile wodnej, lasów nie zaćmiewają puszki wycieczek weekendowych, a życie wygląda jak za dobrych czasów pionierów, prezydenta Lincolna i ma autentyczną oprawę do nowel Twain'a.

Wild West to kraina preryj i „plains", gdzie pod gorącem słońcem lata, wśród tumanów kurzu wędrują trzody krów z wypalonemi na grzbiecie znakami właścicieli, w poryku i tętencie tysięcy racic, oganiane na koniach przez cowboyów.

Cowboy, romantyczny rycerz zachodu, niezbyt przypomina eleganckich bohaterów ekranu. Wypłowiały kapelusz ocienia ogorzałą nie często goloną fizjognomję. Na kraciastej koszuli ma jeszcze czasem zatłuszczoną kamizelkę. Spodnie na szczęście okrywa ochraniaczami z surowej bydlęcej skóry i spina u góry pasem.

Niedbałej postawie obdartusa dodają marsu wiszące na biodrach, na drugim pasie rewolwery Colta lub Smith et Wesson. Wpływy meksykańskiej kokieterji widzimy w zdobieniu srebrem olster, pasów i rzędu na konia.

Koń to druga połowa cowboya. Poprostu dlatego, że każdy pieszy człowiek, pojawiający się wśród stad byłby stratowany przez zdziczałe bydło. Jest jedynym środkiem lokomocji wśród niezmierzonych preryj, jest towarzyszem w samotności, dźwiga na sobie przy siodle dobytek swego pana, znosi jego humory solidarnie dzieli z nim koleje losu, a po śmierci nawet czerep jego czaszki służy jako względnie wygodny taboret przy obozowem ognisku. Jest także współtwórcą i świadkiem chwały swego pana, kiedy w rzadkich w monotonji życia cowboya chwilach bierze z nim udział w „rodeo", święcie cowboya.

Już na długo przedtem wiedzą o niem wiele mil wzdłuż i wszerz. A w przeddzień święta cichy i spokojny Fort Albert pełen jest przyjezdnych. Wozy farmerów tłoczą się w ulicach miasteczka, kawalkady jeźdźców, kwik gryzących się na uwięzi przed „saloonami" mustangów, ryk bydła, użerające się kundle, szeryf denerwuje się zbyt wielkim napływem znanych i notowanych koniokradów, chłopcy w szkole nie mogą usiedzieć, „Gruby Joe" właściciel baru „Pekin" zaciera ręce z radości i angażuje pomocników do rozlewania piwa, redaktor „Fort Albert Heraldu" z zielonym daszkiem nad oczami, bez marynarki, z powodu gorąca, udziela ustnych informacyj z okna redakcji.

Dzień zawodów! Trybuny ustrojone w pasy i gwiazdy. Konie tulą uszy od dźwięku trąb orkiestry „Firemenów". Muślinowe sukienki ladies szeleszczą, pułkownik Brown i highlife Fortu Alberta są na trybunach. Falujący tłum krzyczących, żujących gumę, gryzących „cacachuets", zakładających się widzów głośno rzuca uwagi i słowa zachęty niedbale przechodzącym i rozmawiającym znakomitościom cowboyskim.

Naprzód konkurs poskramiania młodych byczków. Z zagrody wypuszczają ogłupiałe zwierzę z trzymającym się go kurczowo na grzbiecie cowboyem. W komicznych podskokach oszalały ciołek zrzuca w kurz swego jeźdźca, przy akompanjamencie gwizdów i krzyków widzów.

Potem konkurs ujeżdżania konia. Na dany znak do koniowiązów, gdzie toczą krwawem okiem złe jak szatany mustangi biegną na wyścigi cowboye. Trzeba gryzącego i stającego dęba zdziczałego konia osiodłać, dosiąść i teraz zaczyna się taniec. W kurzu zgięty w pałąk skacze lub wspina się z rozwianą grzywą mustang, wieją kapelusze cowboyskie, lśnią gwoździe srebrne pasów, piana płatami leci z boków ciemnych od potu koni. Dzika siła zwierzęcia walczy z żelazną wolą człowieka.

Zawody w rzucaniu lassa. Szalony tętent galopu nad głową zwój rzemienia, rozmach, świst skóry, przecinającej powietrze i rosły byk jak piorunem rażony wali się na ziemię z pętlą na szyi a srokaty mustang zarywa się po pęciny w piasku.

Do kunkursów strzeleckich stają sławy, o których celności strzału chodzą legendy z tej i tamtej strony gór Skalistych. „Shooting" jest darem nielada. Pokazowe strzelanie do monogramu chustki wyrzuconej w powietrze, wystrzeliwanie w desce inicjałów wybranej, strzelanie w galopie do rzuconego krążka, kiedy należy mieć czas do wydobycia zpod kolana Winchestera.

Pokazy woltyżerki czy jakby kozackiej „dżygitowki" kończą popis. W czerwonym zachodzie słońca powrót do stad. Romantyka ma także swoją realną stronę.

Postęp zacieśnia kręgi Wild Westu. Cowboye znikną, jak znikli wyparci przez nich Siuksowie, Keiovehowie i Wilki. Jeszcze w jakimś cyrku zalśni fałszywym autentyzmem rycerz zachodu (mistrzem w rzucaniu lassa w Ameryce jest już teraz żongler, który mało wydalał się w swem życiu z New Yorku).

Ale każdy miłośnik konia będzie pamiętał, że obok wspaniałych rewij kawalerji, parad perskich, „fantazyj" arabskich obrazem harmonijnym współżycia człowieka i konia było święto cowboya: „Rodeo"!

Zygmunt Haupt.



ILUSTRACJE: ZYGMUNT HAUPT

poematy z jedwabiu...



W wywiadach z gwiazdami filmu uderza pewien szczegół: gdy zadaje się im niedyskretne pytanie, która pozycja w budżecie toaletowym ciąży najbardziej na ich dochodach, odpowiadają wszystkie, że... pończochy! Czytelnika, a nawet dokładniej wtajemniczoną w wydatki na garderobę czytelniczkę, ogarnia zdumienie. Jakto? Więc te zwiewne, przejrzyste drobiazgi mają być droższe, aniżeli toalety, lśniące, haftami, mieniące się barwnemi dżetami i ażurem koronek, migocące blaskiem różnobarwnych lam?

A jednak tak jest. Pończochy, to szczegół toalety, wymagający stosowania najskrajniej pojętych zasad higieny. Kobieta dbająca o kulturę fizyczną zmienia pończochy kilka razy dziennie nie tylko ze względu na ścisłe dostosowanie barwy i rodzaju pończochy do sukni przedpołudniowej, toalety popołudniowej i wieczorowej, ale przedewszystkiem ze względu na higienę, zwłaszcza w lecie. Krótsza suknia, modna w sezonie obecnym, zmusza do baczniejszego zwracania uwagi na tak ważny rekwizyt toalety, jak pończocha.

Śmiało rzec można, że moda współczesna propaguje istny kult pończochy. Nawet na boiskach sportowych i kortach tennisowych nie widzi się już pań, obnażających nogi. A cóż dopiero rzec o eleganckiej kobiecie w mieście! Żadna szanująca się kobieta nie wyjdzie na ulicę bez pończoch, zwłaszcza że nowoczesny przemysł pończoszniczy dba o to, aby noga opięta była w pończochę gazową tak przejrzystą, iż nawet dobry wzrok może ulec złudzeniu.

Jak urządzić się jednak podczas upałów letnich, gdy sport i krój toalety, sutej i fałdzistej, zmuszają do odrzucenia wszelakich podwiązek, opasek, gorsetów itp., przytrzymujących pończochy? Może wystarczą krótkie skarpetki, noszone przez kilka sezonów do obuwia sandałowego w porze letniej, zwłaszcza w kąpieliskach? Nie, powiedzmy śmiało i otwarcie, że to jest brzydkie, nieeleganckie i niehigjeniczne. Zostawmy to dzieciom, które troskliwe mamusie mogą kąpać i przebierać kilka razy dziennie, a słońce i powietrze stanowi dla naiwiej skóry dziecięcej bodziec do rozwoju organizmu. Tembardziej potępić należy z całą stanowczością modę chodzenia bez pończoch po ulicach miast. Taka odmiana może być czasowo dobra i korzystna na sezon willegjatury, — lecz tylko na wsi, a nie w uzdrowiskach, odznaczających się większem skupieniem ludzi. Ale w mieście, gdzie na każdym kroku czyha na skórę kurz i brud? Gdzie równomierne opalanie jest wykluczone i dlatego nogi robią wrażenie brudnych, mimo najskrupulatniej stosowanej czystości?

I na to znalazła radę moda współczesna. Przemysł trykotarski jeszcze w ubiegłym sezonie postarał się o pończochy, sięgające tylko do kolan lub powyżej kolan, zakończone obcisłym trykotem gumowym w tej samej barwie, co cała pończocha. Takie zakończenie pończochy z koronkowej gumy przytrzymuje ją doskonale: ze względu na swą elastyczność i cienkość nie wpływa tamująco na cyrkulację krwi, a co najważniejsze, uwalnia od noszenia uciążliwych opasek z gumami do pończoch. Jest to najstosowniejsze i najelegantsze rozwiązanie tego „zagadnienia", gdyż dbająca o estetyczny wygląd kobieta nie ukaże się stanowczo w pantofelkach na obnażonej nodze do eleganckiej toalety. To dobre dla girls rewjowych, zmuszonych do rezygnowania z pończoch na scenie z racji swojego zawodu, a na ulicy dla kobiet, których kultura fizyczna i umysłowa nie wymaga stosowania się do nakazów przyzwoitości w modzie.

Dinah.



Carole Lombard szczyci się pięknemi nóżkami, które przyobleka w jedwabną „pajęczynę"...



Ciąg dalszy ze str. 24-ej.

jego impresarjem! Czy byłby pan to uczynił, nie mając wiary w niego?

— Niech mnie pani wysłucha uważnie! Nie miałem wiary i nie mam! Powodzenie artystyczne Webera to humbug! Dziś właśnie przekona się pani o bezsile Webera!

Byłbym może dalej ciągnął swoje wynurzenia, nie bacząc na jej śmiertelnie bladą twarz i przerażone oczy, gdyby nie nagły huragan oklasków, jakim publiczność powitała Webera na estradzie.

Ścisnąłem zęby i wtuliłem się głęboko w fotel. Miała się teraz rozegrać walka między nami. Nastawiłem całą siłę woli, dochodząc niemal do kontemplacji.

Orkiestra odegrała wstęp do koncertu Czajkowskiego. Weber westchnął, zwolna przyłożył skrzypce do podbródka i uśmiechnął się z rozrzewnieniem do nas. Nie, źle się wyrażam! Raczej do niej!

Przepiękne tony Stradivariusa zawibrowały w olbrzymiej sali, wywołując zachwyt na twarzach słuchaczy.

Wtedy wysłałem swe gorące pragnienie w kierunku Webera, ażeby pomylił się, ażeby przestał grać i ze wstydem opuścił estradę. Przez kilka minut wysiłku myślowego miałem przymknięte oczy, całkowicie pogrążony w potęgowaniu swej woli.

Wtem...

Usłyszałem przykry pisk skrzypiec, jakąś kakofonję dźwięków i Weber umilkł.

Zdziwiony dyrygent zatrzymał orkiestrę i obejrzał się na wirtuoza.

Otworzyłem oczy i spojrzałem przed siebie z triumfem.

Weber stał z bladą twarzą, słaniając się lekko i patrząc na mnie z niemym wyrzutem.

Uśmiechnąłem się pogardliwie i wzruszyłem ramionami.

Uśmiech i gest wyjaśniły mu istotny stan rzeczy, gdyż zastygł na chwilę w obłędnej rozpaczy.

Zdumiona i zaniepokojona publiczność milczała, nie spuszczając zeń oczu.

Weber pasował się ze sobą, potrząsnął głową i postąpił krok naprzód.

Nagle obok mnie zaskrzypiało leciutko krzesło.

Kobieta, dla zdobycia której popełniałem podłość, patrzała na Webera z modlitewną prośbą. Na jej twarzy malowało się tak wyraźne błaganie, że nieszczęśliwy skrzypek drgnął, jakby ze snu zbudzony i ujął z powrotem instrument.

Dyrygent dał znak pałeczką i orkiestra zaczęła od początku.

Wtedy rozpłomieniła się między nami nieubłagana walka. Paraliżowałem jego wolę, wysyłałem ku niemu błyskawice myśli, nieodparte nakazy psychiczne, sugerowałem mu lęk i bezradność, lecz Weber grał nieporuszony, z pod wpółprzymkniętych powiek patrząc bez przerwy na swą ukochaną. Zaciąłem się w jakiejś upiornej nienawiści, zbierając wszystkie swoje siły duchowe, byle dopiąć celu. Muzyka jednak była wciąż czysta, wspaniała i majestatyczna. Publiczność słuchała z zapartym oddechem, chłonąc w siebie czar i poezję dźwięków. A kiedy Weber doszedł do kadencji i olśnił wszystkich głębią akordów i szaloną techniką, sala była zdobyta!

Przegrałem. Opuściłem głowę na piersi, zrozumiawszy, że miłość wszystko może i wszystkiego dokona. Jest to siła równa niemal kosmicznej! A przecież i kosmos opiera się przedewszystkiem... na miłości.

Kiedy Weber skończył, sala wybuchnęła grzmotem oklasków i krzykiem upojonych ludzi. Napół przytomny wirtuoz kłaniał się jak manekin, patrząc w dalszym ciągu z wyrazem niesłychanego szczęścia na swą ukochaną.

Powstałem cicho i jak złodziej ruszyłem do wyjścia, pozostawiając tych dwoje wśród szalejącego tłumu, uzbrojonych w najstraszniejszą potęgę świata — miłość!






ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

Sportowy styl



Elegant może się czuć słusznie urażony, jeśli ktoś zakwestjonuje dobór jego stroju. Będzie to niewątpliwie najcięższy zarzut, z jakim spotka się dobrze ubrany mężczyzna, który przedewszystkiem dba o odpowiedni dobór swego stroju do różnych okoliczności życiowych. Często się jednak tak zdarza, że w programie danego dnia figurują dwie imprezy, wymagające odmiennych ubiorów. Gentleman nie ma z tych lub innych powodów poprostu czasu na przebranie się i... gafa gotowa! Jakże więc jej zapobiec? Problem naprawdę trudny. Moda stara się go oddawna rozwiązać i idąc drogą kompromisu wprowadziła n. p. ciemno-granatowe ubranie marynarkowe na wieczór (przy białej koszuli) nawet tam, gdzie inni pojawiają się w smokingach. Temu kierunkowi zawdzięcza też swe narodziny t. zw. kombinacja, w której występuje szewiotowa sportowa marynarka przy odmiennych, ciemniejszych w kolorze spodniach flanelowych. W większych miastach mężczyźni zajęci rozlicznemi interesami, pragną po spożytym obiedzie wypocząć „na łonie natury". Nie przebierając się, wyjeżdżaią samochodami w teren. Wówczas łatwo się plamiący, ciemny garnitur kamgarnowy okazać się musi conajmniej niepraktycznym strojem wycieczkowym. Zastąpi go z powodzeniem „kombinacja". Może się to łatwo zdarzyć, że siedząc w południe w wytwornej restauracii, będziemy zmuszeni bez przebierania się pójść zaraz potem na mecz golfowy, czy tenisowy. I wtedy kombinowana marynarka sportowa spełni swe zadanie bez zarzutu. Moglibyśmy w ten sposób wymienić jeszcze wiele innych okoliczności, w których strój męski, noszony w mieście, przybiera coraz to więcej akcentów sportowych. Raz będzie to sam rodzaj materjału najczęściej szewiotu lub homes-pun'u, to znowu krój i jego uzupełnienia w postaci nakładanych kieszeni, kontrafałdów, szliców, dragonów itd. Nie ulega wątpliwości, że przeładowanie marynarki sportowej, używanej w mieście, zbyt wielką ilością tych akcentów, musi razić każdego, kto przywykł do umiaru i właściwie pojętej elegancji. Czysty fason sportowy, w którym występują krótkie spodnie, a krój marynarki dostosowany jest do ruchów sportowca, nigdy nie był i nie może być przeznaczony na... ulicę. O tem powinni pamiętać wszyscy mężczyźni, pragnący bodaj na lokalnem podwórku uchodzić za elegantów.



Brummell.








Którą z tych bluzek

WYBIERZE PANI DLA SIEBIE?

Poniżej: Biała albańska pika, ozdobiona fantazyjnym szalikiem i guzikami.





Wytłaczany brokat albański (żółty) z nałożonemi kieszonkami.

Poniżej: Biała lub barwna organdi, ozdobiona haftem z jedwabnego szutaszu.



Hasłem mody wiosennej jest rozweselająca różnorodność odcieni barw i wzajemnego ich łączenia. Nie odrzucamy czarnego z białym i innych spokojnych zestawień kolorów cimnych z jasnemi, ale przedewszystkiem górować musi w stroju nuta wesołej pogody. Otwiera to drogę wejściową wielobarwnym imprimées, które weszły niespodzianie na etat nawet kostjumowy. Do nich jednolite, zwykle ciemniejsze bluzeczki, jak też do ciemnej sukienki dostosowuje się krótki płaszczyk z barwnego materjału imprimé.

Aby sprostać tym wymaganiom kolorystycznym trzeba do kostjumu z gładkiego materjału przystosować kilka różnobarwnych bluzeczek. Garderoba pięknej pani nie jest do pomyślenia bez ich kilku ezemplarzy. W wycięciu żakietu, jakiegokolwiek byłby kroju, bluzeczka ma odgrywać rolę barwnej plamy, iście po malarsku pojętej.

Kostjum nosić można cały dzień, aby zaś dostosować go do odmiennych wymagań przed- i popołudnia, ułatwiają mu zadanie te różnorodne bluzeczki. To też na każdą godzinę dnia można sobie wykombinować z mnogości najodpowiedniejszą bluzeczkę. W godzinach rannych towarzyszy pani klasyczna biała bluzeczka o sportowym kroju, skromnie wyposażona w ozdobne zakładeczki, ząbki czy guziczki. Tego roku wszystkie te bluzeczki mają półkrótkie rękawki, koszulkowe lub marszczone, ale w spokojnych linjach.

Popołudniu nosi pani coś innego. Tu właśnie przychodzi do głosu owa wielobarwność. Materjały na bluzeczki popołudniowe są deseniowe, ale odmienne od materjałów, przeznaczonych na suknie i kostjumy imprimées.

Poniżej: Biała bluzeczka pikowa na godziny poranne do skromnego angielskiego kostjumu.





Barwna bluzka z crêpe de Chine do plisowanej spódniczki angielskiego kostjumu sportowego (artystka Dorothy Lamour).

Poniżej: Bluzeczka wieczorowa z białego jedwabiu lub tafty — kołnierzyk z żabotem.





Skromny ale bardzo elegancki fason z ciemnego jedwabiu w białe kropeczki.



Sportowy fason z ciemnej tafty w białe pasy do popielatego kostjumu.



Szkocki wzór w efektownie przykrojonej kamizelkowej bluzeczce o bufiastych rękawkach.

Bluzeczka może być w kropki, kratki, często szkockie i same w sobie niesłychanie barwnie urozmaicone. Dalej idą bluzeczki w najrozmaitsze pasy, paseczki, wężowe linje itd. Krój ich dość nieskomplikowany, ale wyposażenie w szczególiki bardzo pracowite i charakterystyczne. Bluzeczki te mają dużo kobiecego wdzięku. Są przez swoje lekkie żaboty, z tego samego co i bluzka materjału, bardzo powiewne i kokieteryjne. Dużo ryszek, falbaneczek, misternie wykończających krój. Dużo fantazji w traktowaniu dekoltu i kołnierzyka. Dekolty malutkie, kołnierzyki często pod samą szyją zapinane.

Jeszcze inne bluzeczki ma pani do dyspozycji wieczorem, kiedy już można kostjum wełniany zastąpić jedwabnym lub taftowym a nawet koronkowym. Wtedy na widownię występuje bluzeczka z gazy, organdi, rozmaitych jedwabi i koronek, jakoteż z pailletów, lamy i materjałów, błyszczących od nitek celofanowych i metalicznych. W takiej bluzeczce ukaże się pani zarówno w teatrze, jak na przyjęciu cocktailowem, czy w restauracji czy na proszonej kolacji. Pierwsze miejsce wśród tych bluzek wieczorowych zajmują bezsprzecznie koronkowe, jakoteż koronki lansowane są szczególnie silnie przez niektóre domy mody. Świadczą o tem bogate szale-płaszcze z czarnej koronki do sukien z repertuaru t. zw. wielkich tualet.

Taki płaszcz koronkowy to właściwie obszerny cape, spięty pod szyją kosztowną broszą i zakończony niby kapturkiem, narzutką na głowę, którą się luźnie osłania włosy, przypinając co najwyżej w jednem miejscu jakąś brylantową szpilką. Na sukni z białej organdi lub też na delikatnych jedwabiach kremowych, różowych czy seledynowych, prześlicznie rysują się motywy tych koronek Chantilly.

Nie znaczy to wcale, aby się moda wyrzekła skutkiem tego okrywek futrzanych na sezon letni. Bynajmniej! Cape ze srebrnych lisów, łączonych pasmami materjału srebrnej lamy, to nowość w tym zakresie bardzo szczęśliwie skomponowana. Jest tych pomysłów więcej. Bolerka z gronostajów, bolerka ze srebrnych lisów, oto nowe kreacje futrzane, jakie się spotykać będzie w wielkim świecie, gdzie cena futra nie odgrywa roli w budżecie domowym.

Na skromniejsze wymagania i potrzeby, wystarczy elegancki kostjum wieczorowy z wytworną bluzeczką, która podkreśli urodę, stworzy jej ramy bardzo delikatne, subtelne i kobiece.

Mewa.



Burgundzki lśniący jedwab, przybrany zakładeczkami z tego samego materjału.

Poniżej: Różowa koronka, przybrana plisowym żakietem.





Drapowana crêpe rayée z oryginalnie przybranemi rękawami.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

GRZYBEK Z BUŁEK DO ROSOŁU. 3½ dkg masła uciera się na pianę, dodaje dwie rozmoczone w mleku i wyciśnięte bułeczki oraz 1 żółtko i szczyptę soli. Utrzeć wszystko na gładką masę, wkońcu wmieszać lekko pianę z 2 białek. Masą tą napełnia się rondelek, wysmarowany masłem i popruszony sypką mąką. Upieczony grzybek kraje się w plastry i podaje, zalany buljonem lub tęgim rosołem.

BUDYŃ Z SERA SZWAJCARSKIEGO (kuchnia jarska). Rozpuścić w ryneczce 6 dkg masła, zasypać 9 dkg mąki, zasmażyć na ogniu i zalać 1/4 litra mleka, mieszać na ogniu aż się utworzy gładka masa, którą się dalej ubija na ogniu aż od ścian ryneczki odstanie. Do ostudzonej masy dodaje się po jednemu 4 żółtka i dosypuje potrosze 5 dkg tartego parmezanu lub innego twardego, tartego sera. Wkońcu dodaje się mocną pianę z 4 białek. Masą tą napełnia się formę budyniową i gotuje na parze przez godzinę. Do budyniu podaje się osobno zieloną sałatę przyprawioną sosem majonezowym z szczypiorkiem.

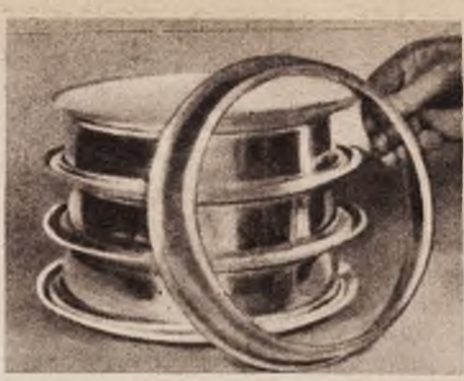
MÓŻDŻKI CIELĘCE W MAJONEZIE (przystawka). Różne jarzyny (jak do rosołu) gotuje się w wodzie osolonej i zakwaszonej octem; ugotowane jarzyny odrzuca się, w pozostałym zaś rosole gotuje się móżdżki cielęce przez 20—30 minut, tj. tak długo, aż móżdżki zupełnie się ściągną i stwardną. Wtedy się je wyjmuje, obiera z żył i błon, kraje w drobną kostkę, rozdziela na muszelki i garniruje auszpikiem. Na kwadrans przed podaniem polewa się móżdżki majonezem, przyprawionym sokiem cytrynowym i kaparkami i stawia na lodzie.

BEKASY, SŁONKI I INNE PTAKI strzelane wczesną wiosną na błotach mają bardzo smaczne mięso. Wprawdzie mięsa tego na tak małym ptaszku niewiele, ale też liczy się zwykle po parę sztuk na osobę. W większych kuchniach ściąga się skórkę wraz z pierzem i owija oczyszczonego z wnętrzności i wymytego całego ptaszka w cienki płat młodej słoniny i piecze na rożnie lub dusi pod pokrywą w rondlu. Znajdzie się jaki większy egzemplarz, to oskubuje się go z pierza, osmala nad płomieniem i oczyszcza z wnętrzności. Wymyte i osolone okłada się cienkiemi płatkami słoninki, owija nitką, nabija na rożen lub szpadkę, którą się zawiesza nad rondlem z troszką masła i wstawia do gorącego piecyka. Spływającym sokiem oblewa się ptaszki, aby nie wysychały. Po 20 minutach powinny by gotowe. Wśród pieczenia układa się w rondlu krajanki bułki, na które spływa sok, na tych grzankach układa się potem upieczone, przepołowione ptaszki, a wysmażoną słoninkę miesza się z ryżem, który się zwykle do tego pieczystego podaje. Można też pieczyste ułożyć na półmisku, grzankami półmisek obłożyć dookoła, wraz z wysmażoną słoninką.

MŁODE KURCZĘTA Z RUSZTU. Przepis, który poniżej podajemy, wykonany być może w piecyku gazowym, zaopatrzonym w ruszt. Piecyki takie spotyka się często w nowszych domach. Przepis brzmi: Oczyszczone i dobrze wymyte, lecz nie długo moczone w wodzie kurczęta, soli się i przecina wzdłuż na połowę. O ile możności wyjmuje się też kości, nóżki ścina się po kolanko, a wystającą kostkę wsuwa się w nacięte mięso tak, aby nie odstawała od całości. Siekaczem lub dużym nożem, ujętym płasko ubija się połówki, formując je przytem, jak zrazy. Kurczęta układa się w rynce na maśle i dusi przez 15—20 minut, bez podlewania, poczem się je z ognia odstawia i pozostawiając je w rynce, zupełnie ostudza. Na ruszt w piecyku kładzie się papier pergaminowy, posmarowany masłem. Połówki kurcząt oblewa się zastygłym sosem z obu stron, osypuje tartą bułeczką, powtórnie macza w sosie i osypuje jeszcze raz bułeczką układa na papierze umieszczonym na ruszcie i opieka z obu stron na ładny kolor. Ułożone na podłużnym półmisku okłada się fritkami lub krokietkami i przybiera zieloną sałatą i ćwiartkami cytryny.

WIEDEŃSKIE KNEDELKI NA DROŻDŻACH Z MORELAMI. Z 50 dkg mąki ująć 2 łyżki i rozrobić w niej 2 dkg drożdży z troszką letniego mleka na rozczyn, który po wyrośnięciu wlewa się do mąki, dodaje łyżkę masła i cukru, łyżeczkę soli, pół filiżanki cienkiego grysiku i mleka letniego tyle, aby ciasto było dość tęgie. Po doskonałem wyrobieniu ciasta, stawia się je w cieple na godzinę. Wyłożone na stolnicę ciasto rozwałkowuje się, kraje na kwadraty, zawija w każdy kawałek suchą konfiturę z moreli lub namoczone przez noc i potem osączone suszone morele, formuje małe podłużne knedelki, stawia w cieple na pół godziny, następnie gotuje kładzione na wrzącą osoloną wodę pod przykrywą 4—5 minut z każdej strony, tj. po 4 minutach gotowania odwraca się je i gotuje znów przykryte przez dalsze 4 minuty. Z wody wyjmuje się je pojedynczo, rozrywa za pomocą dwóch widelców, aby para z nich wyszła i nie powodowała opadnięcia. Knedelki polewa się rumianem masłem i posypuje tartym piernikiem lub smażoną bułeczką, zmieszaną z cukrem. Oczywista że do napełniania użyć można każdej konfitury, byle nie była mokra.

Sc. Ko.



Krążki aluminjowe, które tu reprodukujemy, pozwalają stawiać nad sobą większą ilość talerzy z potrawami, nie gniotąc, ani miażdżąc tego, co na nich poukładano.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Rondel specjalny do jaj, który widzimy bok na reprodukcji, składa się z dwóch części. Dolną napełnia się wodą, górna służy do przyrządzania nad parą jaj sadzonych, jajecznic czy omletów. Rondel długo zatrzymuje należytą temperaturę przyrządzonej potrawy.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 18	Kwiecień — 30 dni
NIEDZIELA 25 Marka Ew.	Rosół z grzybkiem z bułek. Budyń z sera szwajcarskiego. Kurczęta z rusztu z krokietkami. Krem cytrynowy z waflami. Kolacja: Ozór na zimno z sałatą jarzynową.
PONIEDZ. 26 Kleta, Bazylego	Zupa cytrynowa z grzankami. Naleśniki z mięsem z rosołu z poprzedniego dnia. Polędwica wieprzowa z kapustą. Kruchy placek z serem. Kolacja: Parówki na szpinaku.
WTOREK 27 Zyty, Peregryna	Barszcz z uszkami. Móżdżki cielęce w majonezie. Pieczeń cielęca zwijana z marchewką i groszkiem. Budyń czekoladowy. Kolacja: Makaron włoski w pomidorowym sosie.
ŚRODA 28 Witalisa m.	Krupnik na grzybach. Budyń z wątróbki. Zraziki cielęce w sosie pomidorowym z ryżem. Kompot mieszany. Kolacja: Kalafior z masłem.
CZWARTEK 29 Piotra męcz.	Zupa szczawiowa z twardem jajem. Omlety z szpinakiem. Rosbef z sałatą i purée ziemniaczanem. Strudel z makiem. Kolacja: Jaja faszerowane.
PIĄTEK 30 Katarzyny Sen.	Zupa grzybowa z kluseczkami. Kotlety z ziemniaków z sosem korniszonowym. Pstrągi na niebiesko z masłem. Wiedeńskie knedelki drożdżowe z morelami. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
SOBOTA 1 Maj	Zupa ox-tail. Paszteciki francuskie z kiełbaskami. Szparagi z masłem. Perliczka lub pularda z kompotem. Ciastka francuskie z masą orzechową. Kolacja: Kurczęta smażone z sałatą.

HOCKI-KLOCKI

NIEUCZCIWY KUPIEC.



— Panie to jest skandal! Pan sprzedał mi ubranie z mleka! Rys. Charlie.

SIŁA PRZYZWYCZAJENIA.



Gdy się oświadcza artysta dramatyczny... Rys. Charlie.

Rozwiązania z N-ru 16.

RODZINA.

Jan ożenił się z panną Listek, a Janka wyszła za p. Korzenia.

LATA DOROTY.

Dorota ma 23 lata. Ojciec jej liczy 59 lat, a jej matka 41. Jedyne inne liczby pierwsze, których suma wynosi 100 są 53 i 47, ale wtedy Dorota musiałaby mieć 41 lat, a jej matka 29 (ojciec 71), co jest oczywiście niemożliwe.

BRONZ.

8.438 razy.

NA STATKU.

Kierunek statku nie odgrywa żadnej roli.

KOŃ WOJENNY.

300 zł stanowi połowę ceny kupna konia i $\frac{3}{4}$ jego utrzymania, wobec czego $\frac{1}{4}$ utrzymania będzie $\frac{235}{3}$ zł, czyli 78, 33 gr. Ogólna strata wynosi 143, 33 gr.

W ROKU 1900.

Pan Kanarek urodził się w 1856, a zmarł w 1920, licząc 64 lata. Zatem w 1900 miał 44 lata.

SIEROTY.

Ubiegłego roku wuj opłacał 16 dzieci — 12 po 110 zł i 4 — po 170 zł. Tego roku utrzymuje tę samą ilość dzieci — 7 po 110 zł i 9 po 170 zł.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

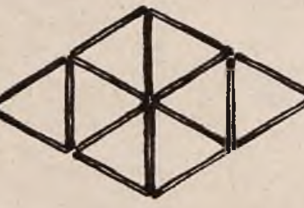
KONIE I BYKI.

Kupiec kupił pewną ilość koni, płacąc 172 zł. za każdego i pewną ilość byków po 132 zł. 50 gr., każdy.

Za konie zapłacił o 16 zł. 50 gr. więcej niż za byki.

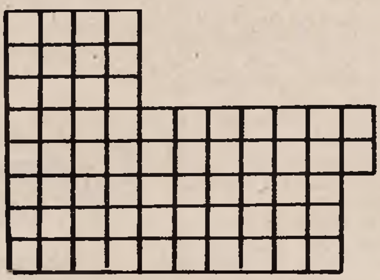
Jaką najmniejszą ilość koni i byków musiał kupić kupiec?

TRÓJKĄTY RÓWNOBOCZNE.



Szesnaście zapałek należy ułożyć tak, aby tworzyły osiem trójkątów równobocznych. Należy usunąć cztery zapałki w ten sposób, aby pozostawić tylko cztery trójkąty równoboczne, przyczem nie mogą w figurze pozostać ani zbyteczne zapałki, ani wolne końce.

IMPROWIZOWANA SZACHOWNICA.



Pan Wróbel bawił z panem Kanarkiem na wsi, gdzie znaleźli figury szachowe, jednak bez szachownicy.

Mając „pod ręką" kawałek linoleum o kształcie podanym na rysunku, zdecydowali zrobić z niego szachownicę, gdyż ilość kratek była odpowiednia. Po chwili namysłu, pan Wróbel zauważył, że można to zrobić, rozcinając linoleum wzdłuż linij tylko na dwie części. W jaki sposób?

CIERPLIWI CHIŃCZYCY.

Przypuśćmy, że następujące zdania są *prawdziwe:*

1. Wszyscy Chińczycy są cierpliwi.
2. Pewni Chińczycy są nauczycielami.
3. Pewni nauczyciele nie są cierpliwi.
4. Wszyscy nauczyciele są wykształceni.

Wobec tego, które z następujących zdań *muszą* być prawdziwe, a które *muszą* być fałszywe.

5. Cierpliwi Chińczycy są nauczycielami.
6. Cierpliwi nauczyciele są Chińczykami.
7. Chińscy nauczyciele są cierpliwi.
8. Pewni nauczyciele nie są Chińczykami.
9. Pewni wykształceni nauczyciele nie są cierpliwi.
10. Cierpliwi nauczyciele nie są wykształceni.

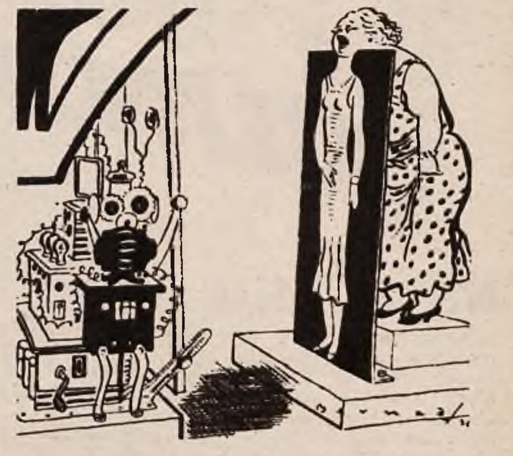
LITERATURA W PRZEDZIALE KOLEJOWYM.

W przedziale drugiej klasy pociągu pośpiesznego siedzi sześciu pisarzy, po trzech na każdej z dwóch ławek. Ich nazwiska są następujące: Fiołek, Bratek, Narcyz, Goździk, Tulipan i Mak. Jest wśród nich jeden eseista, jeden krytyk, jeden humorysta, jeden powieściopisarz, jeden dramaturg i jeden poeta.

Każdy z nich napisał książkę, którą czyta jeden ze znajdujących się w przedziale pisarzy, lecz oczywiście nie sam autor. Pan Fiołek czyta eseje. Pan Narcyz czyta książkę pisarza, siedzącego naprzeciwko niego. Pan Bratek siedzi między eseistą i humorystą. Pan Tulipan siedzi koło dramaturga, a eseista naprzeciwko krytyka. Pan Goździk czyta dramaty. Pan Fiołek, który siedzi w rogu przedziału nie interesuje się krytyką. Pan Tulipan czytał książkę humorysty, a pan Mak nigdy nie przeczytał tomu poezji.

Jaki gatunek literacki uprawia każdy z sześciu panów?

JEST SPOSÓB NA WSZYSTKO!



Oto pomysłowe urządzenie dla pań o zbytniej tuszy, które zamierzają korzystać z telewizji. („Ric et Rac").

PILNY CZYTELNIK.



Mąż do żony: — Zemściłaś się na naszym sąsiedzie, podkładając pod jego dom ogień gazetą, w której nie przeczytałem jeszcze ostatniego feljetonu! („Ric et Rac").

OKOLICZNOŚCI ŁAGODZĄCE.



Obrońca w sądzie: — Tak proszę panów, nie przeczę, że mój klient ukradł, ale tylko dlatego, że jest to jego zawodem! („Le Rire").

To warto poznać..

NA SCENIE.

Teatr Malickiej w Warszawie wystawił obecnie komedję w 4-ch aktach Stefana Donata **„Mała Kitty i wielka polityka“**, którą niedawno po raz pierwszy na nasze sceny wprowadził w Toruniu dyr. Teofil Trzciński, odkrywca tego nowego polskiego talentu, ukrytego pod pseudonimem. Krytycy, nie szczędząc oczywiście swych zastrzeżeń i uwag o sztuce, witają w jej autorze nowy talent komedjowy.

Kazimierz Wierzyński pisze: — „O samym autorze p. Stefanie Donacie, wiemy niewiele. Przebywał podobno długie lata w Austrji i w Niemczech, ze sztuki widać, że teatr to nie obca dla niego dziedzina. — „Mała Kitty i wielka polityka“ jest zręczną komedją rozrywkową, ma miły dowcip i płynny dialog, zręczną budowę i kilka doskonałych ról. Zaliczyć ją można do tego typu sztuk zabawowych, jak modne dzisiaj komedje kuchni węgierskiej w stylu Molnara i Fodora. Nasz debiutant może z niemi od pierwszego swego występu z powodzeniem konkurować.“

A właśnie na coraz liczniejsze zastępy takich komedjopisarzy oczekuje polski teatr i polska publiczność. Sztuka cieszyć się będzie niewątpliwie w Teatrze Malickiej powodzeniem, do czego poprzednie sukcesy nas przyzwyczaiły, choć gra artystów budzi u niektórych sprawozdawców zastrzeżenia. Wszyscy podkreślają jednak doskonałą grę samej patronki sceny, Marji Malickiej. — Inne role grają Relewicz-Ziembińska, Kozłowska, Wojtecki, Wł. Ziembiński, Bay-Rydzewski, Modrzewski, Biesiadecki, Kwaskowski i Łoziński. Reżyserował sztukę Sawan.

Teatr Miejski w Wilnie wystawił ostatnio w reżyserji M. Szpakiewicza tragedję Słowackiego — **„Mazepa“**. Największym ewenementem przedstawienia jest ubranie wojewody przez inscenizatora plastycznego, W. Makojnika, w samodziały wileńskie, tak, że ten szczegół wysunął nawet na czoło swej recenzji z premjery jeden z wybitnych krytyków wileńskich, Józef Maśliński.

Inne jednak nowatorstwa inscenizacji, oraz pomysły dekoracyjne już mu się nie podobały, — a i gra wykonawców wzbudziła wśród recenzentów i publiczności zastrzeżenia. Postać Mazepy odtwarza Borowski, Zbigniewa gra Mrożewski, wojewodę — Szymański, króla — Neubelt, Amelją jest Niedźwiecka, a inne role grają: Jasińska-Detkowska, Czapliński i Wołłejko. **(b)**

NOWE KSIĄŻKI.

Dziennikarz o swych dawnych kolegach i literatach. Tadeusz Hiż, należący do pokolenia dziennikarzy, które rozpoczęło swą pracę jeszcze w ubiegłem stuleciu, wydał obecnie książkę p. t. **„Talent, dziwactwo i jeszcze coś“**. Są to relacje o ludziach i wydarzeniach minionych; pełno tu nazwisk mniej lub więcej znanych osobistości ze świata dziennikarskiego i literackiego. Szkoda, że nie zamieścił autor na końcu indeksu nazwisk, któryby uplastycznił rozległy zasięg jego wspomnień.

Mówiąc o Tetmajerze przypomina depeszę, jaką wystosował do piewcy „Skalnego Podhala“ Kornel Makuszyński: „Mów do nas jeszcze“... Słusznie też zaznacza Hiż, że „Tetmajerowi przypadło w udziale to, iż nauczył całą inteligencję polską czytania poezji. Czytania i uczenia się tych wierszy na pamięć“. Tak, warto przypomnieć, że utwory Tetmajera w okresie przedwojennym były dosłownie na ustach wszystkich.

Jak zachowywał się Bolesław Prus w życiu codziennem? — Nawet w ostatnich latach życia „sypał dowcipami i grał w szachy, gwiżdżąc fałszywie“. (Prus był niemuzykalny!). Był to człowiek, że do rany przyłożyć — jak się wyraża Hiż. W Nałęczowie, gdzie autor „Lalki“ przebywał często podczas wakacyj, chodząc po parku... gubił umyślnie karmelki: „Ciągnęła za nim cała falanga dzieci“, podnoszących owe karmelki“. Jeśli któreś z nich podbiegło do Prusa, chcąc mu oddać cukierek — dostawało za to całą garść karmelków w nagrodę.

Ale przyjazd do Nałęczowa połączony był dla Prusa niemal z katastrofą: obawa przestrzeni, na którą cierpiał, doprowadziła do tego, że lękał się wyjść na balkon; temwiększe musiał znosić męki podczas przejazdu przez most na Wiśle: „Zamykał oczy, zasłaniał sobie głowę, trząsł się na całem ciele“.

Żeromski był znany z uczynności i życzliwości dla młodych i wogóle dla ludzi poświęcających się sztuce. Podczas prób „Uciekła mi przepióreczka“ świetny pisarz tytułował Jaracza „mistrzem“. Na to Jaracz: „Proszę pana, jeśli pan mnie tak nazywa, to jakże ja mam pana tytułować?“ — Po próbie, wróciwszy do domu, Jaracz zastał egzemplarz „Wiatru od morza“, przyniesiony osobiście przez Żeromskiego z dedykacją: „A właśnie, że mistrzowi“.

Kapitalna jest historja, jaka zdarzyć się miała Żeromskiemu w r. 1921. Jadąc tramwajem w Warszawie, Żeromski rozbił szybę. Ponieważ nie miał kwoty potrzebnej do zapłacenia za szkodę — musiał wysiąść i udać się do komisarjatu Dyżurny przodownik nie ujawnił erudycji, albowiem poznawszy imię i nazwisko autora, zapytał go o **zawód**. — Pisarz — odpowiedział Żeromski. — Tak, ale jaki? Gminny, czy hipoteczny? — Nie. Zwyczajnie, pisarz, może pan najwyżej dodać: polski — odpowiedział Żeromski.

Możnaby tak czerpać garściami z książki Tadeusza Hiża anegdoty i wspomnienia, ujęte przeważnie prosto i bezpretensjonalnie, bez silenia się na jakąś syntezę lub przekrój krytyczny epoki...

J. J.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 25 kwietnia.

6.00 Audycja poranna.
9.30 Kazanie z okazji 10-lecia Rozgłośni Krakowskiej i Poznańskiej.
9.45 Transmisja uroczystości odpustowych na św. Wojciecha w Gnieźnie.
12.03 Poranek symfoniczny.
11.00 „Wśród harcerskiej gromady“ — transmisja z Gniezna.
14.30 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
15.05 „Szajne Katarynka“ — „obrazki naiwne malowane na szkle“.
15.30 „Audycja dla wsi“.
16.20 „Z operetek Frimla i Abrahama“ (płyty).
16.45 Słuchowisko: „Bal, który się nie odbył“.
17.15 „Podwieczorek przy mikrofonie“.
21.00 „Awantura na Olimpie“ — wesoła audycja ze Lwowa.
21.30 Recital fortepjanowy Zofji Jaroszewicz-Hulanickiej.
22.00 Chór Dana i Kwartet Schrammla.
23.05 Muzyka taneczna

Poniedziałek, 26 kwietnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert rozrywkowy.
12.30 „Od warsztatu do warsztatu“ — trans. z Instytutu Rzemieślniczego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.
15.15 Koncert orkiestry Barnabasza Geczi.
16.15 „Jak powstały i co znaczą nasze nazwiska“ — odczyt.
16.30 Tercety wokalne.
17.00 „Licea przemysłowe“ — odczyt.
17.15 Lucjan Marczewski: Fragmenty
18.20 „Orkiestra Herry Ro'a“ (płyty). z ilustracyj muzycznych.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 „Nasza marynarka gra“ — koncert w wyk. Ork. Marynarki Wojennej (z Gdyni).
20.05 Łódzka orkiestra salonowa pod dyr. Teodora Rydera.
21.00 „Listek wawrzynu“ — „kurant staroświecki“.
21.30 Wiązanka lekkich melodyj i piosenek.
22.00 Koncert Wileńskiego Klubu Muzycznego.

Wtorek, 27 kwietnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Wileńska Orkiestra Salonowa.
15.15 Koncert rozrywkowy.
16.30 Koncert ukraińskiego chóru narodowego.
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich“.
17.15 Koncert solistów
17.50 „Pogromca“ — monolog.
18.20 „Jazzowe piosenki“ (płyty).
19.00 „Dyskutujmy“: „Tradycjonalizm i rewolucjonizm“.
19.20 Koncert w wyk. orkiestry rozrywkowej.
20.15 Koncert symfoniczny z sali Domu Katolickiego „Roma“.
22.30 „Powieściopisarz a fabrykant powieści“ — szkic liter.
22.45 Muzyka (płyty).

Środa, 28 kwietnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Mała Orkiestra P. R.
15.15 Orkiestra Otto Dobrindt'a i lekkie duety (płyty).
16.30 Polskie pieśni ludowe i utwory skrzypcowe.
17.00 „W walce ze szpiegostwem“ — odczyt.
17.15 Koncert kameralny.
18.20 „Orkiestra Roberta Renarda“ (płyty).
19.00 „Entuzjaści ośrodków Wychowania Fizycznego“ — audycja zbiorowa ze wszystkich rozgłośni P. R.
19.25 „Słynni dyrygenci“: Feliks Weingartner“.
21.00 „Opowieść o Chopinie“.
21.45 Lekkie melodje w wyk. Kreislera (płyty).
22.10 Dramat Kalidasy p. t. „Sakuntala“.

Czwratek, 29 kwietnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych.
12.03 Koncert Orkiestry Policji Państwowej.
15.15 Ork. Jack. Hylton'a i soliści (płyty).
16.35 „Miłość Schumanna“ — reportaż muzyczny.
17.30 Audycja poświęcona Japonji.
18.20 Melodje filmowe (płyty).
19.00 Koncert kameralny poświęcony utworom Maurycego Ravela.
19.45 Koncert rozrywkowy (z Wilna).
20.25 Bilans miesiąca propagandy Ośrodków Wychowania Fizycznego.
21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich“ — XXIV audycja.
22.00 Muzyka taneczna.

Piątek, 30 kwietnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert Orkiestry Wojskowej.
15.15 Piosenki Imperio Argentiny i Armanda Grabbe.
16.30 Pół godziny walców.
17.00 „Licea handlowe“ — odczyt.
17.15 „Z naszych wspomnień muzycznych“ — koncert.
18.20 Orkiestra „Mario Harp Lorenzi“ (płyty).
19.00 „Pierwsze kroki Adasia“ (Ze wspomnień o Adamie Żeromskim).
19.20 „Z pieśnią po kraju“.
19.45 Fragment operowy.
20.00 IX pogadanka z cyklu „O instrumentach ork. symfonicznej.
20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warsz.
22.30 „As pik“ — skecz.
22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, 1 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Potpourri operetkowe.
15.15 Wiązanka melodyj.
16.15 Pieśni w wyk. chóru robotniczego.
17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy.
18.20 Walce Jana Straussa w różnych interpretacjach.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
19.30 Zespół Stefana Rachonia.
20.05 Mikto Saber — 15-letni skrzypek.
21.00 Koncert muzyki operowej.
22.00 „Wesoła Syrena“: „Psychoanaliza“.
22.30 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.